NR 2 (52)/20, kwiecień 2020

IGNIS

Czasopismo Duszpasterstwa Akademickiego św. Anny w Krakowie

„Przez to święte namaszczenie niech Pan wspomoże ciebie łaską Ducha Świętego”

Znamię nowej drogi s. 9-10
Matematyka epidemii s. 13
Bóg umarł w Wielki Piątek s. 14-15

Od redakcji

Drodzy Czytelnicy!

Przed Wami wyjątkowy numer naszego duszpasterskiego czasopisma. Po raz pierwszy w historii oddajemy w Wasze ręce e-IGNISa. Choć nie możemy przekazać Wam tego wydania osobiście to cieszymy się, że elektroniczne wydanie trafi do Waszych domów i pozwoli nam zjednoczyć się w refleksji nad sakramentem namaszczenia chorych.

W czasie, gdy światem zawładnęła epidemia koronawirusa, podejmujemy refleksję nad sakramentem, który na nowo uświadamia nam, że Chrystus jest najlepszym Lekarzem duszy i ciała. Zbawiciel w osobie kapłana przychodzi do tych, którzy niosą za Nim krzyż choroby i umacnia ich w cierpieniu. Przede wszystkim jednak w sakramencie chorych dusza zostaje oczyszczona z wszystkich grzechów, jeśli osoba cierpiąca nie jest w stanie przystąpić do sakramentu pokuty. Potwierdzenie tych słów znajdujemy w liście świętego Jakuba: „Choruje ktoś wśród was? Niech sprowadzi kapłanów Kościoła, by się modlili nad nim i namaścili go olejem w imię Pana. A modlitwa pełna wiary będzie dla chorego ratunkiem i Pan go podźwignie, a jeśliby popełnił grzechy, będą mu odpuszczone” (Jk 5,14n).

Mamy nadzieję, że najnowszy numer IGNISa przyczyni się do pięknego przeżywania Wielkiego Tygodnia i Świąt Zmartwychwstania Pańskiego, a także stanie się miłą lekturą w czasie kwarantanny.

Redakcja

Redaktor prowadzący:
Bartosz Księżyc

Redaktorzy:
Wojciech Dubanowicz
Agnieszka Musiał
Zuzanna Ruszar

Projekt i wykonanie okładki:
Zuzanna Ruszar

Skład:
Anna Grudzińska
Radek Jajko
Bernard Paweł Chrunik

Korekta:
Rafał Biel
Bernard Paweł Chrunik
Anna Każarnowicz
Natalia Polaniak
Aleksandra Skóbel
Weronika Stemborowska

Spis treści

Od redakcji *3*

Artykuł numeru
Przez to święte namaszczenie *4*

Ku świętości
Bóg jest miłością, bliźni cierpi, a ja jestem sługą *7*

Mrówczym tropem
Znamię nowej drogi *9*

ARCM
Lekcja przegrywania *11*

Pismo Święte
Lekarz duszy i ciała *12*

Szkiełko i oko bez mędrca
Matematyka epidemii *13*

Między wiarą a literaturą
Bóg umarł w Wielki Piątek *14*

Teologia ciała
Spójrz w siebie *16*

Śladami Vincenta van Gogha *17*

Savoir-vivre
Jak o innych mówić z klasą *18*

Kultura
W czasie pandemii dzieci się nudzą *19*

Ekonomia
Geneza publicznej opieki zdrowotnej *20*

Sport
Skutki epidemii w sporcie *21*

Zza Wielkiej Wody
Służba (nie)zdrowia *22*

Było, (nie) minęło... *23*

Historia na dziś
Przerwana spowiedź *24*

Z jajem
5G, FTTH, Wi-Fi 6, NFC... *26*

Rogier van der Weyden *27*

Rozrywka *28*

Przez to święte namaszczenie

Przyglądając się dogłębniej drugiemu sakramentowi uzdrowienia – namaszczeniu chorych – możemy mieć wrażenie, że jest on jednym z najbardziej tajemniczych sakramentów. Być może niektórzy nie byli w ogóle świadkami jego udzielania. Często jest też mylnie stawiany znak równości pomiędzy namaszczeniem chorych a tzw. ostatnim namaszczeniem. Jak zatem rozumieć ten sakrament?

Dariusz Leksander

Stół uzdrowienia

Sakramenty uzdrowienia zawsze łączą się z pewnym cierpieniem i chorobą. Spowiedź święta służy odpuszczeniu grzechów, uzdrowieniu ducha, a jej owocem jest łaska Ducha Świętego pozwalająca podjąć walkę z grzechem. Myślę, że podobnym, choć nie tym samym rozumowaniem należy podążyć, by zrozumieć sakrament namaszczenia chorych. „Przez święte chorych namaszczenie i modlitwę kapłanów cały Kościół poleca chorych cierpiącemu i uwielbionemu Panu, aby ich podźwignął i zbawił; a nadto zachęca ich, aby łącząc się dobrowolnie z męką i śmiercią Chrystusa, przysparzali dobra Ludowi Bożemu”[1]. Skarbiec Kościoła Świętego obdarzył wielką troską również tych, którzy cierpią i którym potrzebna jest pomoc w walce z chorobą, by doznali ulgi na ciele i na duchu. Sakrament namaszczenia udzielany jest nie tylko osobom cierpiącym fizycznie. Oczywiście nie mówimy tutaj o krótkotrwałym bólu, ale o trwającej stale lub nawracającej od dłuższego czasu chorobie. Choroba może prowadzić do niepokoju, jest szczególnie trudnym momentem życia, bowiem człowiek chce wyzdrowieć, ale z drugiej strony może też być ścieżką do większej dojrzałości i zwrócenia uwagi na to, co istotne; do szukania Boga i powrotu do Niego [2]. Sakrament ten często bywa błędnie utożsamiany z ostatnim namaszczeniem. Ponieważ „każda choroba może łączyć się z przewidywaniem śmierci” (KKK 1500), wskazane jest, aby był on udzielany osobom w niebezpieczeństwie śmierci lub powracającej chorobie. Czasem faktycznie bywają sytuacje, że człowiek niedługo po jego udzieleniu umiera, natomiast nie należy tego rozumieć jako pewny wyrok. Sakrament ten nie jest przeznaczony wyłącznie dla umierających. Po prostu namaszczenie chorych jest czasem dla człowieka ostatnim namaszczeniem, ale nie znaczy to, że jest to jakaś niezmienna zasada.

Sakrament namaszczenia chorych w ekonomii zbawienia

Na kartach Biblii niejednokrotnie możemy spotkać się ze stwierdzeniem, iż choroba, cierpienie czy ułomność fizyczna mają wymiar religijny. Często nieszczęścia lub chorobę wiązano z grzechem albo przedstawiano jako jego konsekwencję[3]. Z cierpieniem wiązano pewnego rodzaju nieposłuszeństwo i podkreślano stan winy. Takie przekonanie miało miejsce aż do czasów Chrystusa i podzielali je zarówno Jego przeciwnicy, jak i uczniowie. Sam Jezus jednak mówi coś zupełnie innego: „Ani on nie zgrzeszył, ani rodzice jego, ale [stało się tak], aby się na nim objawiły sprawy Boże” (J 9, 3). Podkreślona zostaje zatem nie przyczyna, ale cel choroby, która nie jest konsekwencją grzechu czy karą za grzechy, lecz miejscem, w którym objawia się Boże Królestwo[4]. Chrystus, Dawca Życia, pokazuje tym, których ogarnia choroba i cierpienie, że istnieje piękno duchowego świata. Ewangeliczne uzdrowienia to objawianie mesjańskiej wizji Jezusa, ugruntowanie wiary i przemienienie człowieka w relacji z Bogiem. Choroba staje się drogą nawrócenia [5], a Boże przebaczenie zapoczątkowuje powrót do zdrowia[6].

1 *Sobór Watykański II, konst. „Lumen gentium”, 11.*

2 *Por. KKK, 1501.*

3 *Por. K. Porosło, R.J. Woźniak, „Znaki Tajemnicy – Sakramenty w teorii i praktyce Kościoła”, WAM, Kraków 2018, s. 420.*

4 *Por. tamże.*

5 *Por. Ps 38, 5; 39, 9. 12.*

6 *Por. Ps 32, 5; 107, 20; Mk 2, 5–12.*

Jezus – Ten, który ma nie tylko moc uzdrawiania, lecz także odpuszczania grzechów (Mk 2, 5–12) – przychodzi na świat jako lekarz duszy i ciała. Przepełniające Go miłość i współczucie dla wszystkich cierpiących sprawiają, iż sam się z nimi utożsamia: „Byłem chory, a odwiedziliście Mnie" (Mt 25, 36)[1]. Podobnie jak w czasie swego ziemskiego życia dotykał ludzi objętych chorobą, tak również dzisiaj nadal „dotyka" potrzebujących uzdrowienia i bierze na siebie ich bolączki: „On wziął na siebie nasze słabości i nosił nasze choroby" (Mt 8, 17). Jezus, którego cuda uzdrowienia były zapowiedzią o wiele bardziej radykalnego uzdrowienia, umierając na krzyżu i gładząc grzech oraz śmierć, nadał zupełnie nowy sens i znaczenie cierpieniu. Poprzez cierpienie, udręki możemy jednoczyć się z Jego zbawczą Męką [2].

Uzdrawiajcie chorych…

Historia sakramentu namaszczenia jest mocno związana ze słowami z listu świętego Jakuba: „Choruje ktoś wśród was? Niech sprowadzi kapłanów Kościoła, by się modlili nad nim i namaścili go olejem w imię Pana. A modlitwa pełna wiary będzie dla chorego ratunkiem i Pan go podźwignie, a jeśliby popełnił grzechy, będą mu odpuszczone" (Jk 5, 14–15). Jezus, który nadał nowy sens cierpieniu, wzbudza w swoich uczniach posłannictwo, by poprzez znaki wzywali Jego imienia i uzdrawiali chorych (por. Mt 10,8). Po swoim zmartwychwstaniu przepowiada, iż w Jego imię „na chorych ręce kłaść będą i ci odzyskają zdrowie" (Mk 16, 17–18). Kościół to Boże posłannictwo uznaje za jeden z siedmiu sakramentów oraz wypełnia je „zarówno przez opiekę, jaką otacza chorych, jak i przez modlitwę wstawienniczą,

„Choruje ktoś wśród was? Niech sprowadzi kapłanów Kościoła, by się modlili nad nim i namaścili go olejem w imię Pana. A modlitwa pełna wiary będzie dla chorego ratunkiem i Pan go podźwignie, a jeśliby popełnił grzechy, będą mu odpuszczone" (Jk 5, 14–15)

przez którą łączy się z nimi"[3], zaś szczególne uzdrowienie widzi w Eucharystii, Chlebie Życia wiecznego. Powyższe słowa świętego Jakuba wspominają o trzech skutkach modlitwy i namaszczenia: uzdrowieniu fizycznym, co też niekiedy rozumie się jako zbawienie w eschatologicznym sensie (Jk 1, 21); podźwignięciu, utożsamianym czasem również ze wskrzeszeniem z martwych; oraz odpuszczeniem grzechów. O skutkach sakramentu namaszczenia skupię się dokładniej pod koniec niniejszego tekstu.

Celebracja sakramentu

Obrzędy namaszczenia chorych zawierają zarówno obrzędy odwiedzin chorego, komunii chorych oraz namaszczenia, jak

1 *Por. KKK, 1503.*

2 *Por. KKK, 1505.*

3 *KKK, 1509.*

też obrzęd wiatyku[1] i sakramentów udzielanych choremu w niebezpieczeństwie śmieci. Podobnie jak wszystkie sakramenty, namaszczenie chorych jest celebracją liturgiczną i wspólnotową, bez względu na to, czy jest udzielany w domu rodzinnym, choćby podczas posługi sakramentalnej, w szpitalu czy w Kościele. Jego udzielenie czasem poprzedza sakrament pokuty wraz z przyjęciem Komunii Świętej. Warto go udzielać podczas Eucharystii. Lepiej wówczas ujmuje to charakter stwierdzenia, iż powinna ona być „wiatykiem" na „przejście" do życia wiecznego[2]. Obrzęd sakramentu składa się z: obrzędów wstępnych, czytania słowa Bożego, litanii za chorego, nałożenia rąk przez kapłana (w milczeniu), modlitwy dziękczynnej nad olejem, świętego namaszczenia czoła i rąk chorego, formuły namaszczenia, modlitwy po namaszczeniu oraz obrzędów końcowych wraz z błogosławieństwem[3]. Zgodnie ze wskazaniami Soboru Watykańskiego II, „sakramentu namaszczenia chorych udziela się chorym, namaszczając ich na czole i dłoniach olejem z oliwek lub stosownie do okoliczności innym olejem roślinnym, należycie poświęconym, wymawiając tylko jeden raz następujące słowa: «Przez to święte namaszczenie niech Pan w swoim nieskończonym miłosierdziu wspomoże ciebie łaską Ducha Świętego. Pan, który odpuszcza ci grzechy, niech cię wybawi i łaskawie podźwignie»"[4] .

Szafarzem sakramentu namaszczenia chorych jest biskup lub prezbiter. Ten sakrament przyjmuje się jeden raz w danej chorobie, natomiast w przypadku nowej ciężkiej choroby można go przyjąć powtórnie. Bywa, że osoby starsze przyjmują go nawet raz w roku. Dzieciom również należy udzielać tego sakramentu, o ile osiągnęły taki poziom umysłowy, który pozwala im świadomie przyjąć sakrament i doznać pokrzepienia. Nawet, gdy jest wątpliwość, czy dziecko osiągnęło używanie rozumu, można udzielić tego sakramentu. Zakłada się, że jest to przynajmniej siedem lat. Nie udziela się go osobom, które już nie żyją, natomiast można go udzielić choremu, który stracił przytomność lub używanie rozumu, jeśli istnieje prawdopodobieństwo, że jako wierzący prosiłby o to, gdyby był przytomny. Jeśli istnieje wątpliwość, czy chory osiągnął używanie rozumu, czy poważnie choruje albo czy rzeczywiście już zmarł, również należy udzielić sakramentu[5]. Bardzo zaleca się, by był udzielany w obecności wspólnoty, rodziny czy przyjaciół, którzy mogą otoczyć osobę przyjmującą ten sakrament modlitwą. Namaszczenia nie można udzielać osobie uporczywie trwającej w grzechu[6]. Z założenia nie powinno się go udzielać także osobom, które po prostu chore nie są.

Jeszcze przed przyjściem kapłana w miejscu, w którym będzie udzielany sakrament, należy przygotować „stolik przykryty białym obrusem, na którym stawia się zapalone świece, krzyż, ewentualnie wodę święconą i trochę waty. Jeśli nie ma wody święconej, można użyć wody zwykłej i poprosić kapłana o poświęcenie jej. Na tak przygotowanym stoliku kładzie kapłan Najświętszy Sakrament oraz oleje"[7].

Owoce sakramentu

Rzeczywistość cierpienia oraz choroby można podjąć na kilku płaszczyznach. Styczność z tą rzeczywistością ma nie tylko chory, ale także jego otoczenie. Świadomość, że jest się dla kogoś nierzadko obciążeniem, budzi w chorym duże trudności w komunikowaniu swoich przeżyć związanych z cierpieniem, co rodzi także poczucie winy. Pojawiają się zachwiania w wierze, bowiem w obliczu cierpienia Bóg może wydawać się daleki i jakby niemający wpływu na obecną sytuację chorego. Coraz częściej zadaje się pytania o sens życia oraz o to, jak ono do tej pory wyglądało. Pogodzenie się z cierpieniem budzi wiele trudności, stąd też namaszczenie chorych, chociaż zawiera w sobie odniesienie do śmierci, nie jest ograniczone do „sakramentu umierających"[8].

Nigdy nie warto czekać do ostatniej chwili z udzieleniem go osobie umierającej, tym bardziej, że chory w obliczu śmierci pragnie „uporządkować" swoje sprawy tutaj na ziemi, stąd też ważna jest szybka reakcja rodziny i zawiadomienie kapłana póki cierpiący jest przy życiu.

Katechizm Kościoła Katolickiego wyróżnia kilka skutków sakramentu namaszczenia chorych:

– szczególny Dar Ducha Świętego, bowiem łaską sakramentu jest umocnienie, uzyskanie wewnętrznego pokoju, pocieszenia, nadziei i odwagi do przezwyciężenia trudności. Ufność w Bożą opiekę umacnia chorego, by pogodził się z faktem choroby, a także oddala pokusy złego ducha (por. KKK 1520);

– zjednoczenie z Męką Chrystusa – chory otrzymuje siłę, by głębiej zjednoczyć się z męką Chrystusa i upodobnić się do Jego odkupieńczej śmierci, poprzez którą nadał nowy sens cierpieniu (por. KKK 1521);

– łaska eklezjalna – ciepiący, łącząc się dobrowolnie ze śmiercią Chrystusa, przyczyniają się do uświęcenia Kościoła i przysporzenia dobra Ludowi Bożemu (por. KKK 1522);

– przygotowanie do ostatniego przejścia – dla tych, którzy zbliżają się do kresu swego życia, sakrament jest umocnieniem i obroną na ostatnią walkę przed wejściem do Domu Ojca; stąd też można go nazwać również „sakramentem odchodzących" (por. KKK 1523);

– przebaczenie grzechów, jeśli chory nie mógł go otrzymać przez sakrament pokuty; oczywiście, jeśli chory jest w stanie się wyspowiadać, należy mu to umożliwić, co z pewnością przyniesie mu ulgę na duchu (por. KKK 1532);

– uzdrowienie – Bóg daje szansę na uzdrowienie i całkowite wyjście z choroby, jeśli tylko taka jest Jego wola, by w ten sposób pokazać moc swojej łaski i przysporzyć dobra duchowego.Nigdy nie należy wątpić w uzdrawiającą moc Chrystusa, który „wziął na siebie nasze słabości i nosił nasze choroby" (Mt 8, 17b) i który pokazuje nam drogę do wiecznego zbawienia, nie zawsze jedynie usłaną różami, ale nierzadko wypełnioną też trudnościami, na której mamy szansę upodobnić się do Tego, który cierpiał okrutne męki i podjął śmierć krzyżową. ■

1 *Wiatyk – komunia święta udzielana w niebezpieczeństwie śmierci.*

2 *Por. KKK, 1517.*

3 *K. Porosło, R.J. Woźniak, „Znaki Tajemnicy…", dz. cyt., s. 448.*

4 *Paweł VI, konst. apost. „Sacram unctionem infirmorum"; cyt. za KKK, 1513. Por. też KPK, kan. 847, § 1.*

5 *Por. KPK, kan. 1004 §1, 1005, 1006.*

6 *Por. tamże, 1007.*

7 *M. Kaszowski ks., „Co należy przygotować, kiedy wzywamy kapłana do chorego?", [w:] „Podstawy nauki Kościoła Katolickiego w pytaniach i odpowiedziach", https://www.teologia.pl/m_k/zag06-5.htm#4 [dostęp 12.03.2020].*

8 *K. Porosło, R.J. Woźniak, „Znaki tajemnicy…", dz. cyt., s. 451.*

„Bóg jest miłością, bliźni cierpi, a ja jestem sługą”

Sługa Boży Giuseppe Ambrosoli

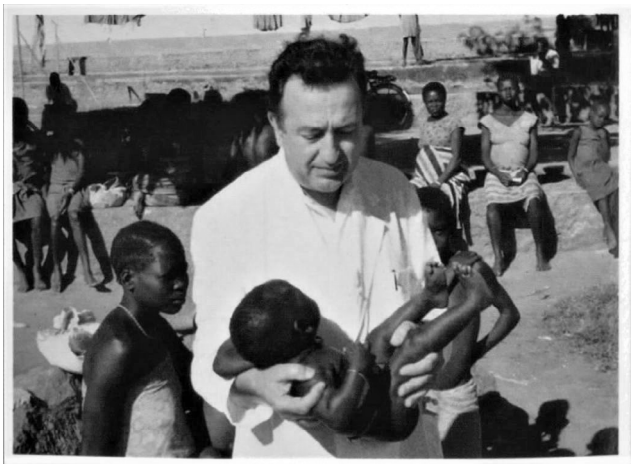

Piotr Siwek

Przychodzi mi pisać ten artykuł w czasie, kiedy cały świat, także nasz kraj, dotyka pandemia koronawirusa. Nie możemy w tym miejscu zapomnieć o osobach, które w czasie walki o zdrowie i życie chorych stoją w pierwszym szeregu: lekarzach, pielęgniarkach, ratownikach medycznych, analitykach laboratoryjnych i wielu innych osobach związanych ze służbą zdrowia, także o studentach medycyny, angażujących się jako wolontariusze. Jest to dobry moment, by docenić wagę powołania tych osób, które niosą tak niezbędną pomoc. Zobaczyć jak wielki dar, a równocześnie wielka odpowiedzialność zostały im powierzone. Mam nadzieję, że postać, o której życiu chciałbym napisać w tym artykule, stanie się inspiracją nie tylko dla medyków, ale i tych z nas, którym leży na sercu pomoc osobom chorym.

Giuseppe, czyli Józef, urodził się w 1923 roku w małej wiosce w regionie Como, tuż przy granicy ze Szwajcarią. Część z Was może dostrzegła zbieżność nazwiska Ambrosoli z marką włoskich miodowych cukierków, które są znane w całych Włoszech. To nie przypadek, ponieważ ojciec Giuseppe’a, Giovanni Battista, zarejestrował rodzinną firmę Ambrosoli, która do dziś z powodzeniem produkuje słodycze, właśnie w roku jego urodzin. Jednak przyszły błogosławiony kościoła katolickiego nie zajął się rodzinnym przedsiębiorstwem, lecz postanowił zostać lekarzem. Po ukończeniu liceum w Como w 1942 roku rozpoczął studia medyczne w Mediolanie. Był to czas drugiej wojny światowej. Włochy, dalej rządzone przez Mussoliniego, walczące na jednym froncie razem z hitlerowskimi Niemcami, stanęły w roku 1943 przed realnym zagrożeniem stopniowego zajęcia Italii przez aliantów. W obliczu takiego rozwoju wydarzeń, Hitler zadecydował o utworzeniu na terytorium północnych Włoch Włoskiej Republiki Socjalnej, zwanej Republiką Saló – marionetkowego państwa faktycznie zależnego od Niemiec. Rodzinne strony Ambrosolich, dotąd niezbyt mocno dotknięte działaniami wojennymi, teraz zaczęły doświadczać terroru i represji. Taki obrót spraw spowodował, że dwudziestoletni Giuseppe przerwał studia i zaangażował się w pomoc osobom prześladowanym przez władze. Za zgodą rodziców pomagał Żydom, partyzantom i mężczyznom unikającym służby wojskowej. Ryzykując własne aresztowanie przyjmował ich w swoim domu, zaopatrywał w żywność oraz pomagał w przerzucaniu ich do neutralnej Szwajcarii. Działo się to wczesną jesienią 1943 roku, tuż po utworzeniu Republiki Saló. Dowiedziawszy się, że na jego trop wpadła policja, sam przedostał się za granicę. Na wiosnę 1944 roku dowiedział się jednak, że został powołany do odbycia służby wojskowej. Nie chciał narażać na represje własnych rodziców, którzy pozostali w kraju, tak więc zdecydował się wrócić i wstąpić do armii. Służył w niej przez rok – na początek w obozie szkoleniowym pod Stuttgartem, a następnie, jako grenadier, stacjonował w małych włoskich miasteczkach w okolicach Parmy. Był to trudny, zimowy czas, a Giuseppe, jako przyszły lekarz, starał się służyć zarówno kompanom z wojska, którym groziły choroby czy odmrożenia, jak i miejscowym, zbiedniałym na skutek wojny rodzinom. Ta postawa nie raz poruszyła osoby z jego otoczenia.

Wojna dobiegała końca. Dywizja, w której służył Giuseppe, poddała się Amerykanom w kwietniu 1945 roku. Po poprawie

sytuacji w kraju powrócił na studia medyczne, które ukończył w 1949 roku. W tym czasie zdecydował, że chce wyjechać na misje do Afryki, by tam leczyć najbardziej potrzebujących. W tym celu ukończył specjalizację z medycyny tropikalnej na uniwersytecie w Londynie. Jednak jeszcze wcześniej skierował swoje kroki do klasztoru zgromadzenia misyjnego kombonianów. Ich pracę misyjną, finansowo i modlitewnie, od lat wspierała jego matka. Nie dziwi więc fakt, że chcąc zrealizować swoje powołanie misyjne, wybrał właśnie tę wspólnotę, założoną przez jego rodaka – świętego Daniela Comboni. Jednak Giuseppe nie spodziewał się, że już przy pierwszej wizycie w klasztorze spotka samego zwierzchnika całego zgromadzenia, o. Antonia Todesco. Było to spotkanie przypadkowe, na klasztornym korytarzu. Giuseppe, pomimo wielkiego zaskoczenia, nie zapomniał po co tu przyszedł. Miał świetną okazję, by powiedzieć o swoich planach samemu generałowi zakonu. Oznajmił więc nieśmiało ojcu Todesco, że chce wyjechać na misje do Afryki, by tam leczyć potrzebujących. Ojciec Antonio zapytał wtedy: Jako lekarz czy ksiądz? – Jako lekarz i brat. Wydaje mi się, że kapłaństwo to dla mnie za dużo. – odparł Giuseppe. Zapewne w tym momencie nie spodziewał się odpowiedzi jaką usłyszał od ojca Todesco: Pojedziesz jako lekarz i ksiądz.

Po studiach w Londynie, na jesień 1951 roku Giuseppe wstąpił do nowicjatu kombonianów. Jego marzenie o pracy na misjach spełniło się wcześniej, niż tego oczekiwał. Od zaraz był potrzebny ktoś, kto zacznie budować szpital w Ugandzie, przyspieszono więc jego święcenia kapłańskie. Już po 4 latach, w grudniu 1955 roku, przyjął je w Mediolanie z rąk arcybiskupa Montiniego, późniejszego papieża, dziś już świętego Pawła VI. Na początku 1956 roku postawił swoje pierwsze kroki na afrykańskiej ziemi. Trafił do północnej Ugandy, do Kalongo – miejscowości położonej na równinnej sawannie. Zastał tam małe ambulatorium, założone przez swoją rodaczkę – misjonarkę i siostrę kombonianką oraz parafię, którą miał się od tej pory opiekować. Pełen misyjnego zapału i miłości do bliźnich, nie zrażając się napotykanymi trudnościami, przystąpił do pracy.

„Bóg jest miłością, bliźni cierpi, a ja jestem sługą." To motto misyjnej posługi, które zawarł w liście napisanym do rodziców jeszcze przed wstąpieniem do nowicjatu, gdy chciał ich poinformować o drodze, którą wybiera. Te słowa z pewnością towarzyszyły mu każdego dnia. Wiemy, że korespondował ze swoją matką. W swoich pierwszych listach do Włoch pisał zapewne o sytuacji, jaką zastał w Kalongo. Głód, choroby, brak opieki medycznej… Na pewno dotknął go widok trędowatych, zamykanych w słabo utrzymanych, często prowizorycznych leprozoriach. Odcięci od społeczeństwa, byli skazywani niejako na śmierć za życia. Inspirując się pismami błogosławionego Karola de Foucauld, kierował się przekonaniem, że lekarz jest powołany, by w swej pracy dostrzegać w twarzy każdego biednego i chorego samego Chrystusa. Aby skutecznie pomagać i być blisko pacjentów i swoich parafian, nauczył się lokalnego języka plemienia Aczoli. Nie poprzestał jednak na tym.

Po roku, gdy rozpoznał miejscowe potrzeby i uzyskał potrzebne wsparcie, rozpoczął przekształcanie swojego punktu medycznego w prawdziwy szpital. Sprowadzał lekarzy z Europy, podjął się też szkolenia miejscowej kadry, między innymi w założonej w 1959 roku szkole pielęgniarstwa pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny. Bóg wspierał hojnie jego wysiłki. Wręcz z niczego na sawannie powstał szpital pracujący według europejskich standardów, mający 350 łóżek dla chorych. Ojciec Ambrosoli dokonał przełomu, jeżeli chodzi o traktowanie osób trędowatych. Wbrew społecznym uprzedzeniom zaczął ich przyjmować do szpitala jak normalnych pacjentów, bez wysyłania ich do osobnych ośrodków. Warto wspomnieć w tym miejscu, że nie był w tym osamotniony – na południu kraju, w Bulubie, w tym samym czasie w ośrodku leczenia trędowatych pracowała dr Wanda Błeńska, zwana Matką Trędowatych, której proces beatyfikacyjny ma rozpocząć się w Poznaniu w październiku bieżącego roku. Ojciec Giuseppe wprowadzał również inne mądre praktyki, jak przyjmowanie do szpitala niedożywionego dziecka razem z jego matką, rozumiejąc dobrze, że ten problem dotknął ich oboje. Pełen szacunku do innych, cierpliwy wobec kolegów po fachu i uczniów, precyzyjny i wymagający na sali operacyjnej. Taką sylwetkę przyszłego błogosławionego przedstawiali jego bliscy współpracownicy.

Ojciec Giuseppe pracował w niespokojnych dla Ugandy czasach. Kraj ten, który proklamował niepodległość w 1962 roku ciągle był niestabilny politycznie. Wystarczy wspomnieć dyktatorskie, brutalne rządy Idiego Amina. Rok 1987 również był niespokojny. W 1985 roku po puczu wojskowym prezydentem został będący Aczolim Tito Okello. Jednak po roku i on został obalony. W czasie prezydentury Okello rządzący, wywodzący się z plemienia Aczoli, pozwalali na dokonywanie pogromów. W związku z tym po utracie władzy, w obawie przed zemstą, rozniecili rebelię. Niestety, Kalongo znajdowało się w centrum terenów objętych walkami. Dzień 13 lutego 1987 był chyba najbardziej bolesnym w życiu ojca Ambrosoli. Do Kalongo zbliżała się grupa rebeliantów. Rządowe wojska, które miały chronić placówkę i pacjentów, zdecydowały, że trzeba ewakuować cały szpital, a pozostawiony sprzęt i leki spalić, by nie trafiły w ręce wroga. Ojciec Ambrosoli dostał jedynie 24 godziny na wykonanie tego zadania. Musiał pozostawić za sobą miejsce, które tworzył przez wiele lat, i w które włożył całe swoje serce i siły. Najtrudniejszym był jednak fakt, że musiał pozostawić wielu ze swoich pacjentów. Liczący 34 ciężarówki i 1,5 tys. osób konwój, w którym większość osób musiała iść pieszo, ruszył do oddalonej o 120 km Liry.

Ojciec Giuseppe w czasie ewakuacji był poważnie chory. Od urodzenie nie miał jednej nerki, a w ostatnich latach szwankować zaczęła ta jedyna. 22-godzinnna podróż samochodem do Liry bez ani jednej kropli wody do picia, a była to pora sucha, mocno nadszarpnęła jego kondycję. Nerka była coraz bardziej niewydolna. W Lirze ojciec Ambrosoli odprawiał jednak Msze Święte. Ostatnia odbyła się 22 marca. Jego stan zdrowia nadal się pogarszał. Chociaż udało się zorganizować wojskowy helikopter, który miał go przetransportować do miasta Gulu, gdzie możliwe byłyby dializy, on zdecydował, że pozostanie pośród swoich. Zmarł w pokoju serca, wczesnym popołudniem, 27 marca. Zgodnie ze swoją prośbą został pochowany owinięty białym prześcieradłem, zgodnie z miejscowym zwyczajem, tuż obok szpitala w Kalongo. Dzieło ojca Ambrosoli nie upadło, chociaż on sam w chwili swojej śmierci widział, jak jest ono niszczone. Szpital w Kalongo został ponownie otwarty po dwóch latach, a szkoła pielęgniarstwa wróciła tam w 1990 roku.

Pamięć o dziele i życiu ojca Giuseppe pielęgnuje fundacja jego imienia, prowadzona przez członków rodziny Ambrosoli. Cud potrzebny do beatyfikacji miał miejsce nie gdzie indziej, jak właśnie w Ugandzie. Sama uroczystość odbędzie się w listopadzie bieżącego roku w Kalongo, miejscu, gdzie przez ponad 30 lat oddawał swe życie dla mieszkańców Afryki. ■

Znamię nowej drogi

Bartłomiej Mrówczyński

Namaszczenie to sakrament, który Pan pozostawił nam na potrzeby skutecznej walki z jedną z najcięższych ludzkich przeszkód, czyli choroby fizycznej. Człowiek zgodnie z nauką Kościoła to składowa trzech elementów, z których żaden nie jest mniej ważny od kolejnego. Są to ciało, czyli fizyczność ludzka, wszelkie zmysły, potencje, materialność i doczesność, dusza, czyli nasze wnętrze, intelekt, wola, świadomość i wszystko to, co jest związane z psychicznością człowieka jako istoty rozumnej i do rozumienia rzeczy powołanej, a także duch, czyli Boża iskra i najbardziej indywidualistyczny element każdego człowieka, ponieważ to właśnie on nie podlega żadnemu z praw ludzkich i jest tym, w czym jesteśmy podobni do Boga i przynależy jednie Jego woli i prawom. Skupienie jednak, drodzy czytelnicy, powinno paść tym razem na z pozoru prozaicznym, ale równocześnie tak pięknym elemencie, jakim jest ciało. To ciało stanowi formę, przez którą my sami realizujemy się w świecie i dlatego tak bardzo ta ograniczona forma wymaga bożego wsparcia. Wystarczy bowiem jeden źle funkcjonujący organ, aby wydajność całego ciała spadła znacząco. Nadszedł czas, aby w naszej podróży zrobić poważny krok naprzód. Zacznijmy więc tak...

Leniwe, jesienne słońce powoli wychodziło znad horyzontu. Poranki zawsze były dla podstarzałego sześdziesięciotrzyletniego mężczyzny równocześnie coraz nudniejsze i trudniejsze. Wstawanie tuż przed biciem zegara było już dla starego Stanisława normą. Dobrze znał już ten rytm. 6:30 wybijał zegar. 6:45 pięciu wyperfumowanych lokajów wchodziło do sali, żeby go ubrać, zdać raport ze spraw oraz wypowiedzieć garść oklepanych komplementów na temat urody swego króla. 6:55 modlitwa. Kto dziś jeszcze te bzdury traktuje poważnie? Połowa biskupów tego kraju i tak należy do masonerii, druga połowa w połowie, albo wierzy w te idiotyczne gusła, albo zatopiona zupełnie w nihilizmie najchętniej za kilka złotych więcej sprzedałaby się byle komu. Ale gramy w tę grę. 7:15 śniadanie... i tak już od ponad trzydziestu lat...

Na suficie jakiś średniej klasy artysta namalował wielki herb Rzeczpospolitej. Dwa majestatyczne białe orły w koronach i dwóch jeźdźców, a pośrodku czerwony cielak. – Jakie to marne malarstwo – westchnął w duszy starzec. Trzydzieści lat kompletnego bezsensu. Najpierw głupia wiara, że kochanka z dawnych lat nie zapomniała o wspólnie spędzonych nocach, zakończona rozczarowaniem i ostrym zderzeniem z geopolityką i racją stanu. Później kilkuletnia wojna domowa, podział kraju, wieloletnia praca nad reformą, Sejm skonfederowany, Ustawa Rządowa, jej klęska, później walka po stronie rewolucji i tego wykolejeńca...

Tym razem do komnaty wszedł tylko jeden lokaj. - No tak, po co byłemu królowi pełna obstawa służby? Ci Moskale... za grosz wyczucia. *Mon Dieu, je suis fatigué....* – Wstał i sukcesywnie nakładano na niego kolejne warstwy ubrań. Koronkowa bielizna, pończochy, pantalony, koszula, kubrak, peruka. Dziś był ważny dzień, stąd z Petersburga do Grodna przysłano piękne karmazynowe trzewiki. *Elles sont magnifiques!* Tylko klamerki miały w kształcie pozłacanego, dwugłowego orła... za grosz wyczucia.

Insygnia królewskie i tak już dawno Fryderyk Wilhelm kazał przetopić. Myśl o tym, że jest się tym, któremu przyszło patrzeć jak korona, berło i jabłko samego Kazimierza Wielkiego trafia do wielkiej kadzi i jest zamieniane na kilka pruskich guldenów była przygnębiająca. Gdyby to jeszcze przypadło jego wielkiemu stryjowi, ale jemu, grubemu, kochliwemu i słabemu królikowi Prus. Katastrofa w trzech aktach, rzekłby zapewne banalny poeta.

Pałacyk był już właściwie opuszczony. Zaledwie kilka osób zostało, aby pomóc starzejącemu się władcy. Bo też po co ktokolwiek miałby mu pomagać. Wybrany nie przez własnych poddanych, a przez bagnety Moskali. Kochany przez upudrowanych magnatów, nie kontuszowych braci. Niezbyt religijny, aby czuć się prawdziwym wyznawcą Chrystusa, zbyt łagodny, aby żądać rzezi szlachty i kleru, jak chcieli przyjaciele Kościuszki. Zbyt obcy, aby czuć prawdziwą jedność z krajem, zbyt swojski, aby sprzedać byle komu tron. Rozdarty…

Mes excuses, Votre Majesté. Na dworze już pierwsze przymrozki – powiedział lokaj, podając ciepły kapelusz z wydatnymi pawimi piórami oraz długi, futrzany płaszcz. Szedł on, król kraju, którego nie ma, opierając się o laseczkę obok starszego, niemieckiego lokaja. Szedł, aby zadać ostatni cios własnej Ojczyźnie.

Wszedł do pomieszczenia pięknie zdobionego w zieloną tapetę. Wewnątrz czekało na niego trzech panów, lekko już znudzonych całą sytuacją. Jeszcze dwa lata temu musieliby się przed nim kłaniać. Teraz był dla nich nikim więcej jak petentem. Ale trzeba zachować maniery, uśmiech i gracje do samego końca.

Podano mu zdobnie inkrustowany i kaligrafowany tekst aktu abdykacji. „My, Stanisław August, z Bożej Łaski Król Polski etc. etc." Spokojnie czytał tekst, który był symbolem najwyższej klasy upodlenia. „...rozumieliśmy, że oddalenie Nasze przyłoży się do powiększenia szczęścia współziomków Naszych...". Szczęścia? Przez ostatnie przeszło cztery lata obce armie wysadzały w powietrze dwory, pałace i chaty, a teraz myślą o naszym szczęściu... za grosz wyczucia... „Najuroczyściej ogłaszamy, że **wolnie i z własnej woli** wyrzekamy się bez ekscepcji wszelkich praw Naszych do Korony" – po to tu przybyłem, oddać wszystko to, co kiedyś jeszcze dla całego świata miało wielką wartość – myślał Stanisław. Koronę Kazimierzów, Chrobrych, Janów i Stefanów... Stanisław pierwszy i ostatni tego imienia...

Przystawiono pieczęć. Gdyby tylko na sali był zdolny kronikarz opisałby zapewne uśmiechy trzech mężczyzn i smutek czwartego. Może w twórczym szale dodałby jakieś rejtanowskie gesty sygnatariusza. Że rzucił kałamarzem z atramentem, że podarł dokument, że zalał się łzami. Ale tam nie było

nikogo poza trzema znudzonymi dżentelmenami, czekającymi na podpis starca. Ten zaś dotknął piórem pergaminu, a przez umysł przebiegła mu formułka „Przez to święte namaszczenie niech Pan wspomoże ciebie łaską Ducha Świętego". Dlaczego akurat to? – pomyślał, kończąc podpis.

Następnie wydano wielki bankiet w Grodnie, a równolegle bawiono się na dworach w Petersburgu, Berlinie i Wiedniu. A o starcu zapominano powoli. Któż się będzie przejmować jakimś pozbawionym tytułu, majątku i woli człowieku. Delegacje wyjechały z Grodna, sam starzec także z pomocą swego wiernego lokaja pakował właśnie swoje ubrania, książki, obrazy, nawet starą mapę upadłego kraju. Spojrzał jeszcze raz na nią, na granice, które nic już nie znaczyły, na nazwy, których używać już zakazano. Złożył ją jak najcenniejszą pamiątkę i schował na dnie kufra. Jeszcze tego samego dnia wyjechał piękną karetą z zapyziałego Grodna do marmurowych pałaców Sankt Petersburga...

Namaszczenie chorych to nie gwarancja na wyleczenie, ani kontrakt z Bogiem na przeżycie, ale zawierzenie siebie przez ręce kapłana woli Najwyższego. A Pan kieruje się ścieżką, którą sobie on sam wyznaczy. Nie było nic heroicznego w postępowaniu starego króla Poniatowskiego. Wiedział jedynie, że musi dokonać tego aktu łaski na ciele już i tak martwej Ojczyzny. Jednak jak pisał nasz narodowy poeta „wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi", zaś namaszczenie niesie ze sobą nadzieję. Nie chcę tworzyć takiej figury logicznej, że rozbiory były koniecznością. Była to tragiczna zbitka brutalnej politycznej gry obcych mocarstw oraz osamotnienia politycznego, połączonego z fatalnym i niezdolnym do autorefleksji ustrojem. Namaszczenie ma zaś dać nadzieję na życie doczesne i wieczne. Tak i ta historia powinna dać naukę najczystszej wiary, gdyż tak jak Rzeczpospolita zniszczona powstała na nowo, tak i dla nas po śmierci doczesnej, czeka na nas życie wieczne. ■

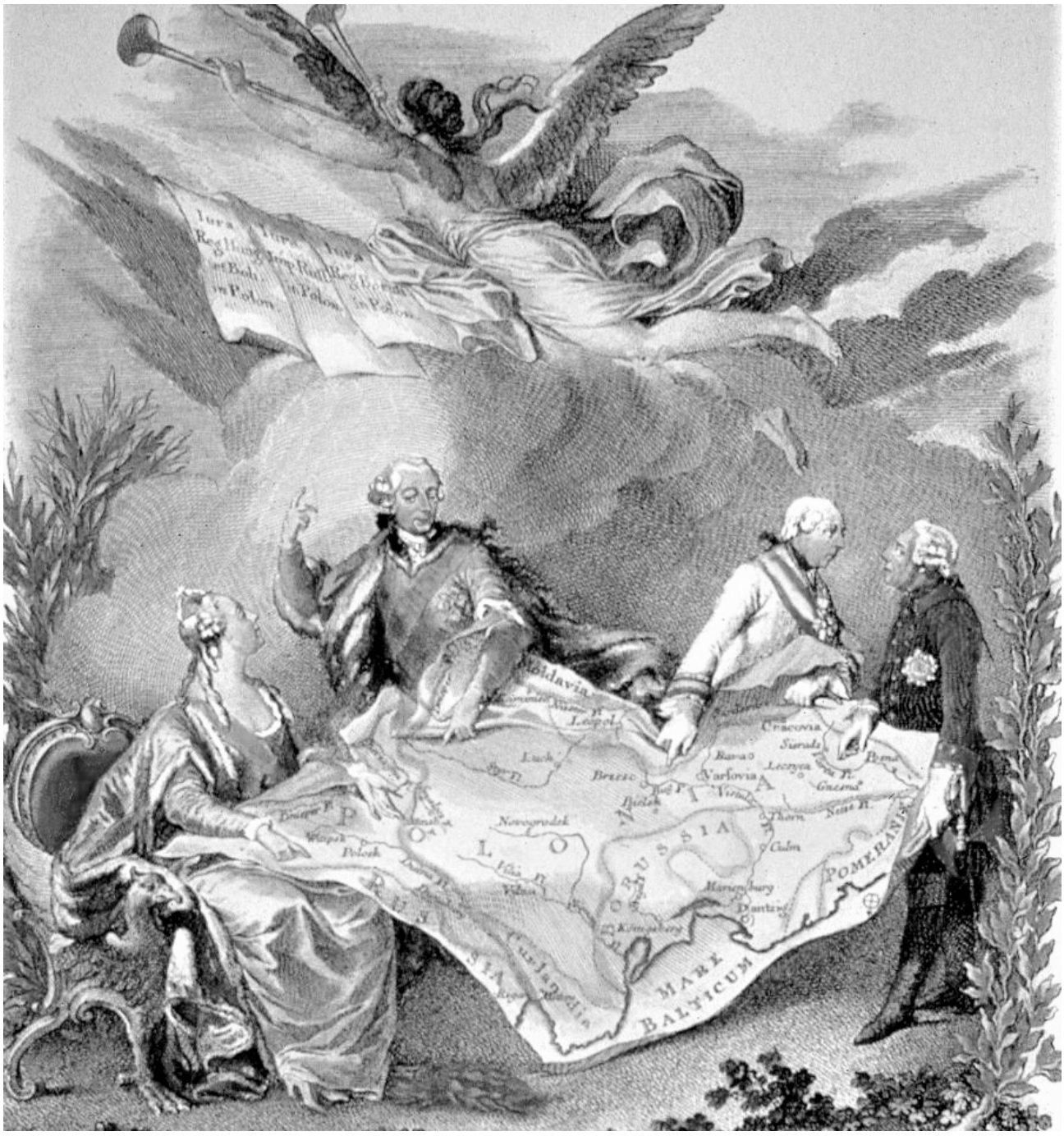

Lekcja przegrywania

Tomasz Wojtas

Od jakiegoś czasu towarzyszy mi myśl, że jest pewna specyficzna i nieodłączna cecha, towarzysząca wchodzeniu w dorosłość. Precyzując, mam na myśli dorosłość rozumianą jako samodzielne branie odpowiedzialności za poważne aspekty życia i przyjmowanie długotrwałych skutków decyzji z tym związanych, a nie tylko przejście bariery ukończenia 18-stu czy 21 lat. Jeśli już przyjmiemy takie założenie, co do pojmowania dorosłości, to wydaje mi się, że nie da się w niej uniknąć lekcji przyjmowania porażek. To właśnie ta cecha wysuwa mi się podczas refleksji na pierwszy lub drugi plan. Trzeba się nauczyć przegrywać. Może to zabrzmi strasznie, ale chodzi o przegrywanie niemal „we wszystko". Zaciekawiło mnie to spostrzeżenie. Porażki (czyli efekty moich działań różne od założeń/oczekiwań) dotykały mnie z różną częstotliwością i siłą, od boiska, przez salę lekcyjną, po życie towarzyskie i zawodowe. Nie jestem tu w żaden sposób wyjątkowy – nie ma człowieka, który zrobiłby wszystko idealnie. Zacząłem jednak zauważać coraz większy dramat nieodwracalności niektórych porażek.

Może zaczynam już „dziadzieć", ale kończąc pierwsze ćwierćwiecze życia i oglądając się w tył, trzeba jednak uczciwie stwierdzić, że kilka rzeczy zawaliłem i nie zdołam ich już naprawić. To zupełnie nowa sytuacja: jeszcze parę lat temu podświadomie wydawało mi się, że ze wszystkiego można się wykaraskać, a przyszłość jest płynną masą, co do której można śmiało mieć plany, by nadać jej kształt – chodziło tylko o to, czy nadam ten kształt właściwy czy nie, jednak zawsze stałem „u progu". Dziś patrzę na tę masę z tą różnicą, że jakieś ograniczenia co do tej formy już są, a wynikają one z przeszłości. Niektóre są błogosławieństwem, wynikają np. z podjętych dobrych decyzji, posłuchanych rad czy po prostu szerzej – Opatrzności. Inne ograniczenia to efekt tego, że popełniło się błąd. Coś poszło nie tak, z głupoty lub złej intencji i już się tego nie cofnie. I to jest pierwszy moment w moim życiorysie, kiedy tak namacalnie zdaję sobie sprawę z tego, że to ja mam moc decydować o swoim życiu, ale też, że konsekwencje tych decyzji mogą się ciągnąć przez jego resztę. Lepiej późno niż wcale.

O co więc chodzi z tą „nauką przegrywania"? Taki termin kojarzy mi się z pewną akceptacją i przygotowaniem się na to, że kolejne porażki dopiero przede mną. Nie powinno mnie to jednak przerażać. Dlaczego? Natknąłem się w pewnej książce na list św. Franciszka Salezego do Rose Bourgeois. Oto, co przeczytałem:

„Gdybyśmy dobrze wiedzieli, kim jesteśmy, to zamiast zaskoczenia, że leżymy na ziemi, czulibyśmy zdziwienie, jak to możliwe, że możemy ustać na nogach."

Zadziwiające. Czyli nie chodzi o to, by unikać porażki za wszelką cenę, ale o to by te silne doświadczenia błędów nie wpływały na to, w jakim kierunku zmierza moje życie (jeśli zmierza w dobrym). Pisząc o porażkach, mam na myśli te zawinione i niezawinione. Grzech i „niefart". Każda z przegranych sytuacji może być dla mnie lekcją cierpliwości. Zwłaszcza do siebie. Mogę sprawdzić: czy oczekiwałem od siebie idealności? Czy już na tyle kocham sam siebie, by sobie wybaczyć? Czy się na siebie obrażę? Uczciwie i pokornie trzeba przyznać, że mam ograniczenia. I koniec końców, skoro już popełniam błędy, to dobrze, że przynajmniej mogę o nich pamiętać – i dzięki temu o tym, że nie jestem wszechmocny. Mówią bowiem słusznie, że „Łaska Boża jest do zbawienia koniecznie potrzebna". ■

Lekarz duszy i ciała

„A była w Nim moc Pańska, tak że mógł uzdrawiać. Wtem jacyś mężczyźni, niosąc na łożu człowieka, który był sparaliżowany, starali się go wnieść i położyć przed Nim. Nie mogąc w żaden sposób go przenieść z powodu tłumu, weszli na płaski dach i przez powałę spuścili go wraz z łożem na sam środek, przed Jezusa. On, widząc ich wiarę, rzekł: «Człowieku, odpuszczone są ci twoje grzechy». Rzekł do sparaliżowanego: «Mówię ci, wstań, weź swoje łoże i idź do domu!» I natychmiast wstał wobec nich, wziął łoże, na którym leżał, i poszedł do swego domu, wielbiąc Boga."

Łk 5, 17-18; 24-25

Marta Grabowska

To tylko jeden z wielu ewangelicznych opisów uzdrowień, którymi Chrystus obdarzał chorych, jakich spotykał na swojej drodze. Jednocześnie jest to piękny fragment, który w wyjątkowy sposób ukazuje istotę działalności Pana Jezusa. Warto zauważyć, że zanim nasz Boski Lekarz spełnił prośbę chorego i jego przyjaciół, oczyścił serce paralityka z wszystkich jego grzechów. Z pewnością wiedział, że uzdrowienie duszy jest mu o wiele bardziej potrzebne, niż uzdrowienie sparaliżowanego ciała, aby mógł w pełni cieszyć się życiem.

Myślę, że każdy z nas może utożsamić się z tym sparaliżowanym człowiekiem. My, podobnie jak on, często nie zdajemy sobie sprawy jak bardzo paraliżuje nas grzech. Może przy okazji rozważania tego fragmentu Ewangelii warto zastanowić się czy w czasie naszej modlitwy prosimy Pana Boga, aby zaglądał w najciemniejsze zakamarki naszych serc i obdarzał je zdrowiem.

Z opisem uzdrowienia paralityka wyjątkowo korespondują słowa, które w 1997 roku, na kilka dni przed V Światowym Dniem Chorego, wypowiedział święty Jan Paweł II: „Uzdrawiając chorych Jezus ukazuje, że Jego ofiara zbawienia obejmuje całego człowieka – jest On bowiem lekarzem duszy i ciała. Współczucie dla tych, którzy cierpią prowadzi Go nawet do utożsamienia się z nimi, jak czytamy w opisie sądu ostatecznego: <<byłem chory, a odwiedziliście Mnie>> (Mt 25, 36). Takiego właśnie głębokiego współuczestnictwa domaga się od Swych uczniów, kiedy im poleca: <<uzdrawiajcie chorych>> (Mt 10, 8)."

Widzialnym znakiem tegoż właśnie „współuczestnictwa" z pewnością staje się sakrament namaszczenia chorych. Kapłan, udzielając go tym, którzy go potrzebują, niejako jednoczy się w cierpieniu z osobami, które niosą za Chrystusem krzyż swojej choroby. Zjednoczenie to, wyrażone głębokim, przepełnionym miłością spojrzeniem, dobrym słowem, czy przyjaznym gestem,

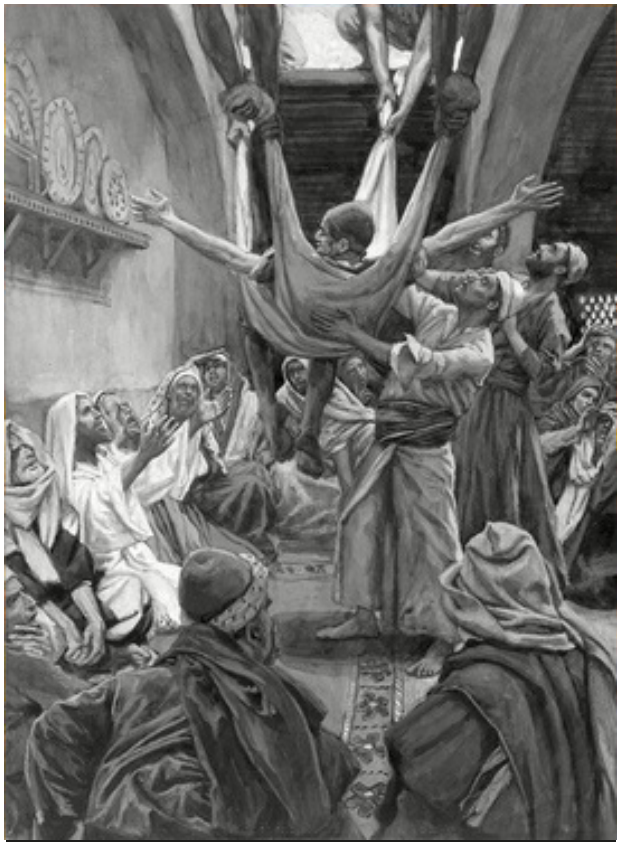

przynosi owoce, które umacniają zarówno chorego, jak i jego bliskich, obdarzając ich siłą do walki z chorobą.

Dzięki Bożej Łasce miałam okazję tego doświadczyć , patrząc – oczami duszy – na przemieniającą moc sakramentu namaszczenia chorych, w którym Pan Jezus hojnie obdarzał moich najbliższych.

Matematyka epidemii

Dominik Kasperski

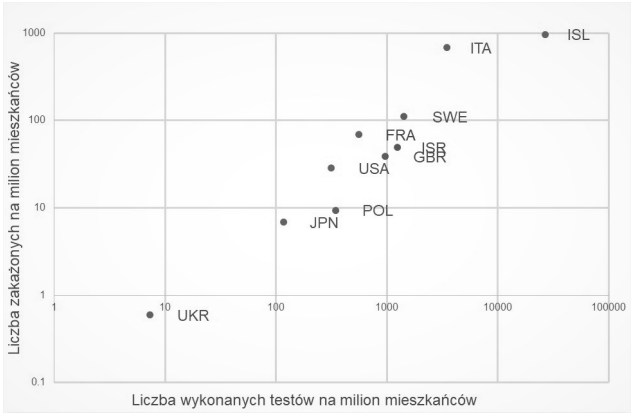

Miesiąc temu pisałem o koronawirusie jako o ciekawostce, która do nas nie dotrze. Wtedy nazwy SARS-Cov-2 czy COVID-19 były tylko kodami WHO. Tym razem chciałbym pokrótce omówić i pokazać liczbowo, jakie metody walki z epidemią są najbardziej skuteczne. I dlaczego nie wolno tracić sympatii do średniowiecza – mimo że nie znano wtedy całego mikroświata.

W modelowej sytuacji na chorobę zakaźną chorują wszyscy. Część osób umrze, a część zyska odporność. Podobnie jak spotkania ludzkie są przypadkowe, tak i do zarażeń powinno dochodzić w przypadkowych procesach. I jeśli jestem chory, a mam 50% szansy na zarażenie osoby, która stoi obok mnie, to z dziesięciu stłoczonych wokół mnie w tramwaju osób, powinienem zarazić pięć. Te pięć osób zarazi kolejne i kolejne… Z czasem zarażą się wszyscy, ale – zakładając, że będą chorować (do uzyskania odporności staną się nosicielami) tak samo długo – w tym samym tempie powinni też wyzdrowieć. Czyli widzimy, że liczba nowych przypadków zależy od liczby istniejących, prawdopodobieństwa zarażenia i… liczby spotkań. Z czasem maleje również liczba osób możliwych do zarażenia, bo część nabywa odporność. Oczywiście nie można też zarazić zarażonego.

Powyższy akapit zawiera większość matematyki stojącej za obecną pandemią. Rządzi się ona tzw. logistycznym rozkładem prawdopodobieństwa. Póki co na świecie iloraz spotkań i prawdopodobieństwa zarażenia oscyluje w okolicach 1,25 (liczba przypadków z dzisiaj to 1,25 przypadków z wczoraj). **Dlatego strategicznie ważne jest ograniczenie liczby spotkań, dbanie o odporność, mycie rąk i niedotykanie twarzy.** Są to działania, które „sztucznie" obniżają ten wskaźnik. Dobra wiadomość jest taka, że zachorowania w Polsce wymykają się rozkładowi logistycznemu. Nie udaje się do nich dopasować jakiegokolwiek modelu. Przyczyny mogą być dwie (czytelnik będzie wiedział, która jest prawdziwa – czas pokaże): albo mamy niedostateczną liczbę testów (ewentualnie dane mogą odzwierciedlać zwiększające się tempo ich wykonywania), albo działania podjęte przez rząd zdusiły epidemię w zarodku.

Jako przykład mogą posłużyć dwa kraje: Chiny i Korea Południowa. W Chinach decyzja o zamknięciu Wuhanu i prowincji Hubei – która zapadła z godziny na godzinę – spowodowała, że epidemia została ograniczona, jeśli chodzi o obszar i liczbę ludzi. Takie działanie nie jest rekomendowane przez WHO, ale organizacja sama przyznała, że jest skuteczne. Dodatkowo, w mieście tylko jedna osoba z rodziny mogła opuszczać mieszkanie i to raz na dwa dni. Epidemię udało się opanować po półtora miesiąca. W Korei natomiast wszyscy przywożący chorobę byli „łapani" aż do pojawienia się pacjenta nr 31, którym okazała się członkini pewnej sekty. Przyszła na spotkanie, w którym udział brało ok. tysiąca osób. Następnego dnia okazało się, że jest zarażona. Władze zareagowały ustaleniem przez policję tożsamości wszystkich członków sekty, przymusowymi testami i kwarantanną. Natychmiastowo odwołano wszystkie imprezy i zamknięto wszystkie uczęszczane miejsca, a ludzie pozostali w domach. Wykorzystano także geolokalizację chorych poprzez urządzenia mobilne. Dzięki temu udało się szybko opanować epidemię, co przy zamknięciu granic pozwoliło bardzo szybko „wyjść na prostą" w około miesiąc.

Co to ma do średniowiecza? Otóż mieszkańcy Mediolanu w zderzeniu z czarną śmiercią wymyślili następujące procedury, kopiowane aż do czasów wynalezienia szczepień: kwarantanna dotyczyła całego domu, miasto było zamknięte, domownicy byli wypuszczani z kwarantanny dopiero po kilku tygodniach od śmierci lub wyzdrowienia pierwszego chorego. Potem nie wpuszczano osób z terenów dotkniętych zarazami. Czyli robiono właściwie wszystko to, co obecnie jest stosowane na Dalekim Wschodzie przy znajomości rozkładu logistycznego, epidemiologii czy wirusologii. Ponadto tamta pandemia dżumy zmieniła oblicze świata. A jutro? Chiny stają się „lekarzem świata", a Zachód nieudolnie stara się je dogonić. W oczach globalnej opinii publicznej autorytaryzm okazuje się momentami lepszy (warto to zwalczać przykładem Korei Południowej). Na całym świecie bardziej narażone okazują się zawody niewyceniane dobrze na co dzień (a potrzebne!). W latach 20. historia zdecydowanie przyspiesza… ■

Bóg umarł w Wielki Piątek

Była matką mojej matki. W głębi serca mówiłem na nią: „Wandeczka", choć wiedziałem, że to nie przystoi, ale to słowo – łatwe do szeptania i żartowania – dobrze pasowało do tego, co czułem. Wanda Anna Celińska z domu Danowska, żona kupca zbożowego z Warszawy Czesława Jana Celińskiego, urodziła się w wieku dziewiętnastym, dokładnie pod koniec roku 1890 (więc jeszcze za życia Fryderyka Nietzschego), zmarła zaś w sławnym roku 1984, gdy amerykańskie imperium zdążyło właśnie ogłosić program gwiezdnych wojen, a imperium radzieckie kończyło swój żywot, ale nazwiska „Nietzsche" i „Orwell" nie mówiły jej nic, tak jak nie mówiły nic (i nadal nic nie mówią) miliardom ludzi na Ziemi. Gdy kiedyś, w chwili wzburzenia – było to w porze gimnazjalnych buntów, które Parandowski ochrzcił piękną nazwą „nieba w płomieniach" – powiedziałem do niej twardo: „Bóg umarł" (siedzieliśmy wtedy w dużym pokoju przy stole nakrytym serwetą, którą sama wyhaftowała), spojrzała na mnie ze smutkiem znad okularów: „To prawda. Bóg umarł w Wielki Piątek".

S. Chwin, *Traktat o dłoniach i rzeczach*

Karolina Ples

W dobie ostatnich wydarzeń związanych z epidemią koronawirusa pojawiło się wiele dyskusji, komentarzy, opinii, polemik, teorii… Zostaliśmy zalani ogromem treści, na którą trudno być obojętnym. Potrzeba zrozumienia rzeczywistości, która nas otacza, czy próba dokonania prognoz na przyszłość jest czymś bardzo naturalnym, na wskroś ludzkim. Chcemy wiedzieć – to zrozumiałe. Zresztą, w dobie mediów społecznościowych taka rzeczywistość wcale nie dziwi – każdy może podzielić się swoją opinią, dostęp do informacji jest bardzo prosty, mamy go na wyciągnięcie ręki. Jedni będą próbowali użyć do tego narzędzi danych przez naukę, skrupulatnie sporządzając wykresy i odnotowując kolejne zakażenia. Inni pochylą się nad naturą wirusa, jego genezą, ewentualnymi skutkami, powikłaniami po przebytej chorobie. Obok dociekań natury czysto naukowej, czy to na polu matematyki, fizyki, czy też biologicznym, pojawiło się również wiele głosów na poziomie debaty teologicznej – zaczynając od dawnego sporu o Komunię Świętą przyjmowaną na rękę, a kończąc na pytaniu o sensowność epidemii wraz z nieodłącznym niepokojem i drżeniem, czy nie jest ona przypadkiem boską karą zesłaną na grzeszną ludzkość XXI wieku. Dobrze nam znane *unde malum?* wraca ze zdwojoną siłą. W sieci, do której na czas kwarantanny w dużej mierze przeniosło się nasze życie, znajdujemy ogromną ilość przeróżnych pytań i prób odpowiedzi. Zewsząd słychać: dlaczego Bóg pozwala na taką sytuację? Czy wysłucha gorących próśb płynących z ołtarzy na całym świecie? Czemu to wszystko służy? Kiedy się skończy? Ten cały natłok różnych koncepcji, często niebezpiecznych, celnie punktuje i nazywa list Komisji Nauki Wiary, podpisany przez abp. Stanisława Budzika. Czytamy w nim, że „fałszywa historiozofia, powoływanie się na prywatne pseudoobjawienia i sny, nonszalancka, wyrwana z kontekstu egzegeza biblijna, ignorowanie, marginalizowanie lub nawet otwarte kwestionowanie współczesnego nauczania Kościoła." Epidemia odkrywa w nas jakiś przeogromny lęk przed ciszą Boga, przed Jego tajemnicą. Bardzo szybkimi, wielokroć powierzchownymi odpowiedziami próbuje okiełznać rzeczywistość, w jakiej przyszło nam żyć. Jednak, jak słusznie zauważa ksiądz Szymik, analizując obecność rozpaczy we współczesnej kulturze, zbyt szybka odpowiedź, nawet jeśli na pierwszy rzut oka wydaje się być bardzo „po-bożna", nie wytrzyma ostatecznie napięcia spotkania z bólem stworzenia. Czy nie jest tak, że zbyt łatwo przypisujemy Bogu słowa, które do Niego nie należą? Zapominamy o Jego wielkiej tajemnicy, która nieodłącznie związana jest również z tajemnicą cierpienia? Próbujemy zawładnąć Bogiem i „rodzi się tu niebezpieczeństwo manipulowania Bogiem, wystawiania Go na próbę, a w konsekwencji niedopuszczalnego rozliczania Boga" (tu ponownie fragment listu Konferencji Nauki i Wiary).

Myślę, że w trudnym dla nas czasie nadzieje niosą wydarzenia Wielkiego Piątku. Rozumowe poszukiwania filozofów XX wieku w obliczu cierpienia i zła doprowadziły ich do stwierdzenia, iż Bóg umarł. Ich zdaniem tylko tam człowiek żyje godnie i szczęśliwie, gdzie Bóg został uśmiercony. Oczywiście, to stwierdzenia obrazoburcze, ale jednak optyka Objawienia pozwala nam dostrzec w niej pewien zalążek prawdy. Jak „Wandeczka" z traktatu Stefana Chwina musimy pokornie stwierdzić: „Tak. Bóg umarł w Wielki Piątek." **Bóg nie wytłumaczył**

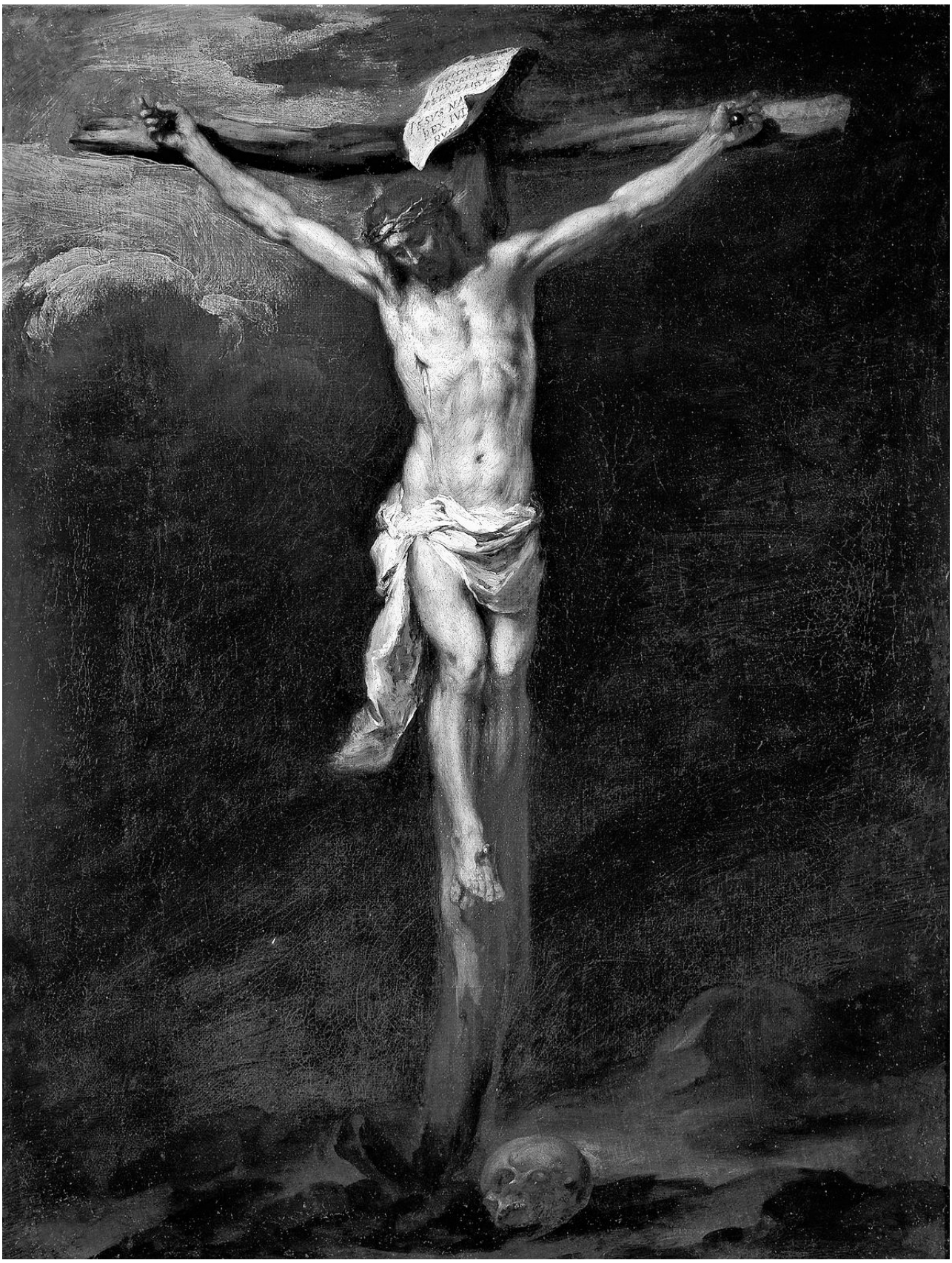

nam nic, tłumacząc nam wszystko – otwarte na Krzyżu Serce Syna Bożego jest tego znakiem. Absolutnej otwartości Boga i całkowitego wytłumaczenia cierpienia, które nie zaspokoi naszych rozumowych dociekań (też ważnych!), ale da nam pokój. On z nami jest, odczuwa, cierpi, towarzyszy. Jest w naszym lęku i bólu. Jest w naszej tęsknocie za bliskimi, za starym życie. I daje nadzieję, której świat nie może nam zabrać. I już niedługo, za kilkanaście dni, jakkolwiek sytuacja potoczy się na świecie, wybrzmi, jak napisał ksiądz Jerzy Szymik, „trzykrotne, uroczyste, wydarte mrokowi głosem wiary, Lumen Christi […] między Wielkim Piątkiem i Wielką Niedzielą: na progu, w oczekiwaniu, nie pojmując, ale spotykając.” ■

Spójrz w siebie

Weronika Kostecka

Przygotowywanie i prowadzenie spotkań skupionych wokół teologii ciała okazało się dla mnie niemałym wyzwaniem. Przede wszystkim sam temat, mimo że niesamowicie interesujący i ważny, nie należy do najłatwiejszych, a rozmowy o relacjach z płcią przeciwną dotykają nas bardzo często tam, gdzie najbardziej boli. Kolejnym powodem wydaje się być samo zetknięcie poglądów pań i panów w dyskusji. Chociaż oczywistą rzeczą wydawało się, że będą się one różnić, nigdy bym jednak nie przypuszczała, że będą w stanie budzić tak wielki sprzeciw i wzburzenie drugiej strony. Ostatnią (i prawdopodobnie najbardziej problematyczną dla mnie) kwestią było to, że Elementarz teologii ciała Pawła Kopyckiego uważam za… fatalnie napisaną książkę (ze względu na to, że jest to moje całkowicie subiektywne stwierdzenie, nie ma sensu wchodzić w to głębiej).

Czego bym jednak nie myślała o omawianej książce, nie mogę odebrać głębi i wartości nauce samego Jana Pawła II. Pochylenie się nad filozoficznymi i obfitującymi w metafory refleksjami Ojca Świętego rozpoczynało rozmowy na najróżniejsze tematy. Tematy, które często wydawały się nie mieć z teologią ciała nic wspólnego. To, że tekst potrafił przywołać tak wiele skojarzeń i sprowokować tyle różnych dyskusji, po zastanowieniu przestaje w zasadzie jakkolwiek dziwić. W końcu niemal wszystko w życiu sprowadza się do potrzeby kochania i bycia kochanym. I właśnie to wydaje się być podstawą dla rozważań nad relacją kobiety i mężczyzny.

Wraz z Janem Pawłem II mogliśmy uczyć się rozumieć i akceptować właśnie te fundamentalne pragnienia – potrzebę wyjścia z naszej samotności, potrzebę drugiego człowieka, potrzebę relacji. Szczęście ma się bowiem realizować w byciu darem, ale i przyjmowaniu daru drugiej osoby. Coś, co uważam za często pomijane, a niezwykle ważne w tym kontekście, to nasza relacja z samymi sobą. Nie możemy w pełni pokochać innych, dopóki nie pokochamy i nie zaakceptujemy siebie. Mimo że stwierdzenie to w konkursie na najbardziej sztampowe zdanie świata byłoby zdecydowanym faworytem, taka jest „najprawdziwsza prawda". Bez uświadomienia sobie tego nie będziemy w stanie myśleć o sobie jako o darze ani w pełni i z radością przyjmować tego, co oferować nam może drugi człowiek. To jeden z aspektów teologii ciała, na podkreślaniu którego zależało i zależy mi najbardziej podczas spotkań komórki. Problem ten zdaje się powracać w najróżniejszych rozmowach jak bumerang (czy może po prostu – ja ciągle o tym mówię…). Dla drugiego człowieka, zwłaszcza nam bliskiego, jesteśmy w stanie zrobić niemal wszystko; otaczamy go uczuciem i troską w najgłębszym przekonaniu, że zasługuje na to, co w życiu najlepsze. Odnoszę jednak wrażenie, że bardzo rzadko myślimy w takich kategoriach o nas samych. Za rzadko!

Tematem, który w moim odczuciu nie daje się oderwać od całości tych rozważań i o który starałam się w miarę możliwości poszerzać dyskusje, jest spojrzenie na kobietę i mężczyznę oraz na dzielące ich różnice ze strony czysto psychologicznej. Bez dobrego zrozumienia (lub przynajmniej próby zrozumienia) drugiej strony nasze relacje zdają się być chodzeniem po omacku. Jestem przekonana, że bardzo wiele problemów dałoby się rozwiązać poprzez lepsze poznanie, co tak naprawdę siedzi w każdym z nas. Jak nauczał Jan Paweł II – to właśnie odkrycie wnętrza człowieka jest kluczem do zmiany zewnętrznych zachowań, a, co za tym idzie, także naszego funkcjonowania w relacjach.

Na koniec chciałabym wspomnieć jeszcze o jednej niezwykle istotnej myśli, jaką przekazał nam w refleksjach o teologii ciała Papież. Jest to przypomnienie, że jako katolicy nie jesteśmy wcale ograniczani ze wszystkich stron przez to, co mamy, a czego nie mamy robić. Nasza moralność ma się tworzyć przede wszystkim „w wewnętrznym dostrzeżeniu wartości" obowiązujących zasad. Jednym z najpiękniejszych głosów, jaki pojawił się kilkakrotnie podczas spotkań, było właśnie zauważenie, że przykazania to nie zbiór zakazów i nakazów, a przepełnione najszczerszą miłością rady Przyjaciela.

NASZA MORALNOŚĆ MA SIĘ TWORZYĆ PRZEDE WSZYSTKIM „W WEWNĘTRZNYM DOSTRZEŻENIU WARTOŚCI" OBOWIĄZUJĄCYCH ZASAD.

Cieszę się, że na wszystkie te tematy mogliśmy porozmawiać właśnie w damsko-męskim gronie. Zagadnienie teologii ciała na pewno jeszcze niejednokrotnie przysporzy nam różnorakich problemów, ale z takimi problemami warto się mierzyć. I wspaniale jest móc robić to we Wspólnocie.

Gdybym myślał, zastanawiał się nad wszystkimi niesprzyjającymi okolicznościami, nie mógłbym nic robić, toteż zabieram się do pracy, jakbym skakał do wody – głową w dół – i wypływam na powierzchnię ze studiami obrazów; jeśli burza nazbyt huczy, wypijam jeden kieliszek więcej, żeby się ogłuszyć.

(Vincent van Gogh w liście do brata, lato 1888 r.)

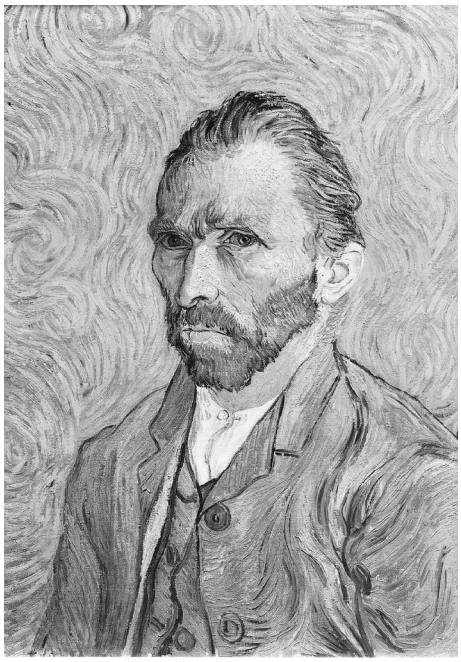

Anna Rita Rucińska

Paryż, dn. 20 września 2019 r.

Drogi Vincencie!

Absynt. Fée verte*, zielona wróżka. Najmodniejszy trunek Twoich czasów. Kiedy spróbowałam go po raz pierwszy, przestało mnie dziwić , że tak wielu uległo jego czarowi. W całym swoim rytuale podania absynt jest po prostu piękny, tak jak piękny jest jego szmaragdowozielony kolor, który pod wpływem cukru, lodu i wody staje się świetlisty jak prawdziwy nektar wróżek. Zwodniczy w swoim słodkim zapachu, przywodzący na myśl dzieciństwo, lukrecję i cukierki na kaszel. Tymczasem zawarte w nim stężenie alkoholu jest większe niż w czystej wódce, co sprawia, że bardzo szybko uderza do głowy. W smaku niejednoznaczny: inny przy nabieraniu w usta, inny na języku i jeszcze inny w posmaku, jaki po sobie pozostawia. Trudno oskarżać go o Twoje nieszczęście, ale na pewno nie był Ci sprzymierzeńcem. Nawet jeśli potrafił niekiedy wyczarować iluzję pozwalającą zapomnieć o wszystkich troskach.*

Będąc na powrót w Paryżu, postanowiłam odżałować 14 euro i pójść do Musée d'Orsay. Głupio byłoby ominąć to miejsce, realizując tę tematyczną podróż – mają tu 18 Twoich obrazów. Dziś przyjrzałam się im wszystkim bardzo analitycznie, na tyle, na ile pozwoliła mi moja malarska ignorancja. Daruj mi szczerość, ale zupełnie nie dziwi mnie fakt, że ludzie nie chcieli ich kupować. Sama bym ich nie kupiła. Zakładając oczywiście, że żyłabym w drugiej połowie XIX wieku i dysponowała odpowiednią ilością pieniędzy, żeby inwestować w sztukę. Ale pocieszę Cię – Gauguina nie kupiłabym tym bardziej. Przy całej swojej dziwaczności jego obrazy wydają mi się po prostu brzydkie. Twoje takie nie są.

Musisz jednak zrozumieć różnicę między moim punktem widzenia a punktem widzenia ludzi Ci współczesnych. Dzieła, jakie przyniosła ze sobą sztuka XX i XXI wieku, były niekiedy tak dalekie od wszystkiego budzącego podziw, że Twoje wizjonerstwo i łamanie reguł jawi się przy nich jako esencja klasyki. Przy Picassie, Dalim czy Pollocku Twoje obrazy wydają się bardzo estetyczne i w pełni zrozumiałe. Ale nie dla XIX-wiecznego Paryża niedysponującego tym porównaniem, rozkochanego w rewolucji impresjonistów. Paryż chciał wtedy pastelowych kolorów, rustykalnych scenek i kojących pejzaży. Jak mógł spojrzeć przychylnym okiem na Twoje ciężkie od farby, krzyczące jaskrawymi barwami, a czasem sprawiające wrażenie niedokończonych, płótna…?

Może gdybyś był chociaż spokrewniony z kimś znanym, miał babkę pisarkę i ojca dziennikarza jak Gauguin albo arystokratyczne korzenie jak Toulouse-Lautrec… może wtedy zdobyłbyś uznanie. Ale Ty byłeś tylko synem wiejskiego pastora z Holandii, a więc nikim. Widzisz, Vincencie, dla takich jak my drzwi szeroko pojętych salonów są zamknięte. Chcąc dostać się do środka, musimy wskoczyć przez okno lub znaleźć klucz…

Ewentualnie zrobić wytrych.

Do napisania!

Jak o innych mówić z klasą

W dzisiejszych czasach wielu z nas ma do czynienia z setkami słów, które słyszymy każdego dnia. Poprzez wydzielenie z tego olbrzymiego tortu zdań, w których jest mowa na temat innych, warto zastanowić się kiedy takie zachowanie jest zgodne z zasadami savoir vivre'u.

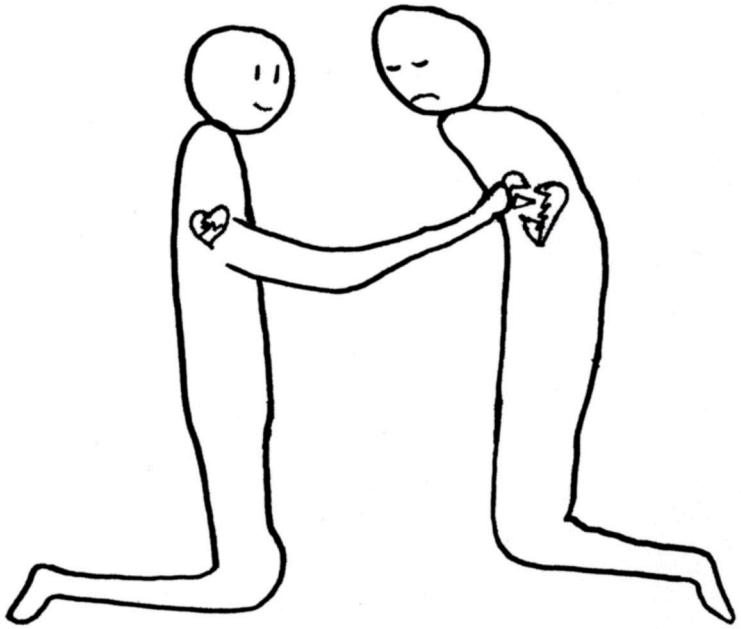

rys. Dorota Olewińska, *Przebaczam Ci*

Dominik W. Feliks

Kiedy wypowiadamy się na temat innych swoim interlokutorom możemy przedstawić informacje o osobach trzecich mające charakter prywatny – wówczas ukazuje się coś co jest ukryte. Często ludzie skrywają coś wstydliwego, zatem otwarte mówienie o czymś takim może sprawić komuś przykrość. Z innej jednak strony, w kontekście osoby nieobecnej przy konwersacji, można mówić o czymś, co wiąże się z informacją o charakterze jawnym czy też osobistym. Przykładem tej drugiej sfery jest stwierdzenie, że ktoś jest katolikiem – taki wybór przecież nie jest prywatną sprawą tejże osoby. Może być też tak, że te dwa typy nie wyczerpują omawianego zagadnienia, ale rozważenie chociażby tego podziału może niektórych powstrzymać przed wypowiedzeniem czegokolwiek.

Zgodnie z etyką tomistyczną twierdzi się, że w kontekście aktu znaczenie ma nie tylko jego przedmiot, ale także intencja mu towarzysząca. Oprócz zaprezentowanego w poprzednim akapicie określenia przedmiotu aktu, człowiek z klasą rozważa także jaka intencja towarzyszyła jego działaniu.

Każdemu raczej łatwo dojść do tego, że gdy mówi się o czyimś wzroście może coś być nie tak. Z drugiej strony, gdy opisujemy kogoś zupełnie innego, podając jego cechę i wyrażając ją w sposób skrótowy stwierdzeniem, że ktoś ma np. 1,9 metra wysokości, powinniśmy patrzeć na skutki. Gdy wyrażamy się o innych powinniśmy mieć świadomość, że u konkretnych osób pewne tematy mogą być drażliwe i niewygodne. Może warto byłoby ich uniknąć? Dość dobrze znaną i często powtarzaną radą jest, by mówić o innych tak jak sami chcielibyśmy, aby o nas mówiono. Jednak to wydaje się być jedynie częściowym rozwiązaniem. Znacznie ciekawsza, lecz chyba znów niezbyt kompleksowa, może być refleksja jaką ktoś podejmuje zanim powie coś w grupce osób. Zastanawia się wówczas czy powiedziałby to samo, gdyby w owym towarzystwie stał także Pan Jezus.

Tak jak dama niemal nigdy nie krzyczy, tak też człowiek z klasą nie powinien grzeszyć obmową. Takie zawinie może się pojawić, gdy przypisze się innej osobie wątpliwe, a nawet złe intencje, które wykrzywiają to, co dobrego robi. Tym, którzy myślą, że nie mają i nie będą mieć ze swoimi wypowiedziami problemu pragnę zaproponować sięgnięcie do dziesiątego rozdziału pierwszego listu św. Pawła do Koryntian, a reszcie proponuję rozważyć modlitwę przez wstawiennictwo świętego Jana Nepomucena.

W czasie pandemii dzieci się nudzą.

W trosce o zdrowie swoje i innych w przeciągu najbliższych dni wciąż zdecydowaną większość czasu będziemy spędzać we własnych domach lub mieszkaniach. Najprawdopodobniej są one już sterylnie czyste, we wszystkich szafach panuje idealny porządek. Okna i podłogi umyte, firanki wyprane, niebezpiecznie zbliżamy się do granicy, za którą czai się pisanie pracy dyplomowej. Jak od niej uciec? Skąd czerpać pomysły na ciekawą codzienność w zamknięciu?

Joanna Kret

Najczęściej powtarzaną propozycją na wykorzystanie wolnego czasu, którego możemy mieć teraz w nadmiarze jest nadrobienie zaległości w lekturze. Skąd jednak brać nowepozycje, gdy biblioteki zamknięte, a my przeczytaliśmy już wszystko, co znaleźliśmy w domu? Z pomocą przychodzi Empik, który z racji wyjątkowej sytuacji, w której się znaleźliśmy, udostępnia wszystkim chętnym pakiet Empik Premium na 60 dni za darmo. Wystarczy wejść na stronę https://www.empik.com/czas-w-domu i postępować zgodnie z umieszczonymi tam informacjami, aby cieszyć się dostępem do 13 tysięcy e-booków i audiobooków przez najbliższe dwa miesiące.

A może… teatr?

27 marca corocznie świętujemy Międzynarodowy Dzień Teatru. W tym roku celebracja tego wydarzenia musiała przybrać odrobinę inną formę. Wiele teatrów udostępnia nagrania swoich spektakli na specjalnych portalach. Wśród nich znalazł się Teatr Narodowy w Warszawie, którego realizacje można oglądać na stronie Ninateka.pl. Z kolei krakowski Teatr Stu na czas domowej izolacji przypomina wielkie monologi, udostępniając je na Youtube.com (pod nazwą „Wielkie monologi". Ten sam teatr zachęca również do zapoznania się z ofertą portalu #Themuba (theatre – music – balet), na którym odpłatnie można obejrzeć spektakle takie jak „Inne rozkosze" czy „Spowiedź chirurga".

Warto wrócić do wspomnianego wcześniej portalu Youtube.com i zostać na nim na dłuższą chwilę. Do dyspozycji internautów mamy tam między innymi nagrania z Teatru Bagatela (np. „Othello", dostępny do 27 kwietnia włącznie), Opery Krakowskiej (spektakl „Loteria na mężów, czyli narzeczony nr 69"). Wielbiciele opery powinni zapoznać się z ofertą Metropolitan Opera, która to codziennie udostępnia na swojej stronie nowe spektakle (i są one do obejrzenia przez 20 godzin, aż do premiery następnego), pod adresem: https://www.metopera.org/nightly-opera-stream/.

Oprócz wyżej wspomnianych atrakcji teatralnych warto również zainteresować się ofertą Teatru Telewizji, na bieżąco aktualizowaną i w miarę możliwości wzbogacaną. Zajdziemy ją pod adresem https://teatrtv.vod.tvp.pl/. Pod koniec marca premierę miała najnowsza wersja „Zemsty" Aleksandra Fredry. Być może właśnie komedia, która zawsze dobrze się kończy, będzie najlepszym wyborem na obecne czasy.

Panie, a skąd na to wszystko brać internet?

No właśnie, skąd mieć na to wszystko internet? Przecież teraz nasze pakiety danych wykorzystujemy nie tylko do oglądania słodkich kotów czy kolejnych odcinków seriali, ale również do brania udziału w wykładach czy do pracy zdalnej. Na szczęście z pomocą przychodzą najwięksi operatorzy sieci komórkowych. Orange oferuje do 100GB miesięcznie za symboliczną złotówkę z kodem EDUFLEX, Plus dla swoich abonentów, jak i użytkowników Plusha, oferuje za darmo 10 GB oraz darmowy dostęp do serwisu TIDAL przez 90 dni dla nowych użytkowników, Play również daje 10 GB Internetu, jak również dostęp do HBO GO.

A jeśli starczy nam czasu lub wciąż będziemy szukać inspiracji, warto rzucić okiem na strony:
https://psrp.org.pl/student-sam-w-domu/
https://wawel.krakow.pl/zostanwdomu
https://www.gov.pl/web/kultura/zostan-w-domu--sztuka-przyjdzie-do-ciebie
i znaleźć coś dla siebie.

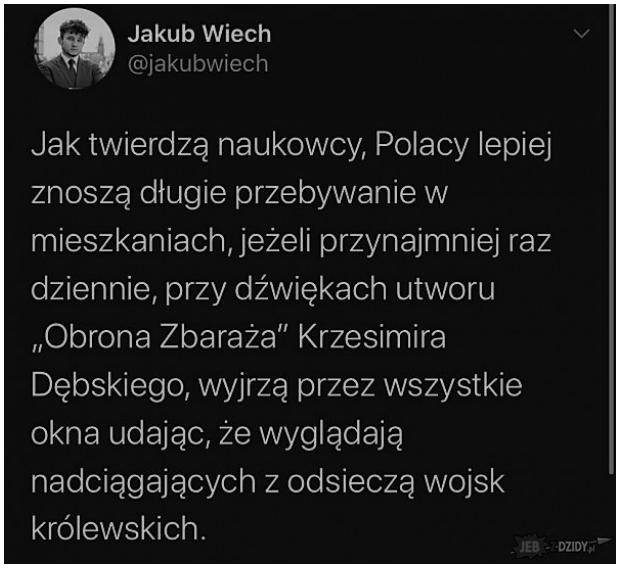

Geneza publicznej opieki zdrowotnej

Łukasz Kucharski

Stoimy obecnie w obliczu sytuacji, delikatnie mówiąc dość nietypowej. O ile w przypadku poprzednich zagrożeń związanych z ogólnoświatowymi epidemiami, jak np. ptasia i świńska grypa czy ebola zasięg występowania wirusa udało się skutecznie ograniczyć ze względu na ostry przebieg choroby ułatwiający odizolowanie zakażonych, o tyle w obliczu SARS-CoV-2, jak oficjalnie nazywa się wirus wywołujący chorobę COVID-19, w wyniku łagodnego przechodzenia choroby wśród większości zarażonych, dochodzi do niedoszacowania ich liczby oraz braku możliwości skutecznego ograniczenia jej występowania. Szacunki przewidują, że wirus obejmie do 70% ludzkiej populacji. Spośród tych, którzy zostaną nim zakażeni, na utratę życia może być narażonych ok. 2%, w szczególności osoby starsze i takie, które cierpią na różnego rodzaju choroby przewlekłe. Nie namawiam nikogo do lekceważenia tego zagrożenia, ale też i nie zachęcam do ulegania panice, jaka ostatnio widoczna jest zwłaszcza w krajach Europy Zachodniej, gdzie półki sklepowe przypominają te z czasów słusznie minionej w Polsce epoki socjalizmu. Korzystając niejako ze wzmożonego zainteresowania, w niniejszym artykule chciałbym przybliżyć nieco genezę powstania systemu publicznej opieki zdrowotnej. Zapraszam do lektury.

XIX-wieczna Europa była teatrem gwałtownych przeobrażeń. Ulegały zmianie stosunki społeczne, w których nie tylko tzw. stary porządek odgrywał coraz mniejsze znaczenie, ale przede wszystkim rosła rola niższych klas społecznych, dotąd nie mających większego wpływu na zmiany instytucjonalne w państwie. Cały XIX wiek to okres silnej emancypacji warstw powstałych na skutek rewolucji przemysłowej, które zyskując coraz większą świadomość zaczęły wywierać nacisk na rządy i domagać się spełniania określonych oczekiwań w zakresie polityki socjalnej.

Musimy pamiętać, że w tym samym roku, w którym przez Europę przetoczyła się fala ludowych powstań i rewolucji tj. w 1848, I Międzynarodówka ogłosiła Manifest, w którym ogłosiła konieczność wprowadzenia ustroju komunistycznego, mającego zniszczyć dawne stosunki kapitalistyczne a wprowadzającego dziejową sprawiedliwość pod postacią socjalizmu i rządów proletariatu. Komuniści nie przewidzieli jednak tego, że zastosowane w tamtym okresie zmiany, które udoskonaliły proces produkcji, stworzą zapotrzebowanie na wysoko wykwalifikowaną siłę roboczą, zdolną do zapewnienia sobie względnego dobrobytu pracą własnych rąk. Ten impuls, a także przyrodzona człowiekowi potrzeba dążenia do awansu społecznego sprawiły, że widmo rewolucji komunistycznej zaczęło z wolna zanikać. Z drugiej zaś strony, niejako naprzeciw wrzeniu społecznemu, pojawiły się rozwiązania instytucjonalne, mające spełnić podstawowe oczekiwania robotników.

Pierwsze tego typu rozwiązania prawne pojawiły się w II poł. XIX wieku w Niemczech. Było to związane z wprowadzeniem przez Bismarcka ubezpieczeń społecznych w 1883 roku. System ten zakładał wprowadzenie obowiązkowych ubezpieczeń społecznych dla obywateli Cesarstwa Niemieckiego, dążąc do zabezpieczenia ludności przed niespodziewanymi konsekwencjami niemożliwych do przewidzenia zdarzeń losowych, uniemożliwiających im zdobycia dochodu i zagrażającym podstawom ich materialnego bytu. System ten stał się na tyle popularny, że zaczął być kopiowany w pozostałych państwach europejskich, do tego stopnia, że przed pierwszą wojną światową większość z nich zdążyła już wprowadzić rozwiązania dotyczące ubezpieczeń społecznych wszystkich swoich obywateli.

Ziemie polskie, znajdujące się pod zaborami, siłą rzeczy były skazane na rozwiązania przyjmowane w państwach zaborczych, pomiędzy którymi występowały dość znaczące różnice. Pierwsze rozwiązania dot. publicznej ochrony zdrowia wprowadzone przez państwo polskie pojawiły się już chwilę po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku. Od tamtej pory, mimo czerpania z rozwiązań różnych systemów, możliwość ochrony zdrowia ma każdy polski obywatel.

Skutki epidemii w sporcie

Koronawirus błyskawicznie wywrócił do góry nogami świat sportu. Informacje zawarte w artykule były aktualne na dzień 13 marca.

Bartosz Księżyc

Świat

Międzynarodowa Federacja Piłki Nożnej FIFA zarekomendowała, by marcowe i kwietniowe mecze międzypaństwowe zostały przełożone. Dodatkowo kluby zostały zwolnione z obowiązku zwalniania zawodników na mecze kadr narodowych, jak miało to miejsce do tej pory. Mecze eliminacyjne Mundialu 2022 drużyn Ameryki Południowej już oficjalnie się nie odbędą. Siatkarska Liga Narodów, która tradycyjnie skupia 16 silnych ekip, odbywa się od maja do lipca i w tym roku miała być ostatnim poważnym sprawdzianem przed igrzyskami w Tokio - została przełożona na okres jesienny. Komisarz NBA, najbardziej prestiżowej ligi koszykarskiej na świecie, poinformował o wstrzymaniu rozgrywek na minimum 30 dni. Wygraną Stefana Krafta przedwcześnie zakończył się zimowy sezon skoków narciarskich, a w dalekim Melbourne (Australia) odwołano inauguracyjny wyścig Grand Prix w Formule 1. Obostrzenia dotknęły także bardziej kameralnych form aktywności – w Chinach zamknięto trasę na najwyższy szczyt Ziemi, Mount Everest.

Europa

Pierwszym piłkarzem, u którego potwierdzono zarażenie się wirusem COVID-19, był Niemiec Timo Huebers, występujący w drugoligowym zespole Hannover 96. Całym piłkarskim światem wstrząsnęły informacje o potwierdzeniu zakażenia obrońcy Juventusu Turyn (mistrza Włoch), Daniele Ruganiego, a także młodego menedżera londyńskiego Arsenalu – Mikela Artety. Jeszcze pod koniec lutego podjęto decyzję o zawieszeniu ligi szwajcarskiej. Obecnie każda z 5 najlepszych lig europejskich (angielska, hiszpańska, niemiecka, włoska, francuska) ogłosiła przerwę w rozgrywkach. Jak się później okazało, dramatyczna sytuacja we Włoszech i rosnące zagrożenie w innych krajach doprowadziły do zawieszenia Ligi Mistrzów i Ligi Europejskiej, choć UEFA bardzo długo dawała sygnały, że zamknięcie trybun to wystarczający środek zapobiegawczy. Lawinowo podjęto podobne działania w Lidze Mistrzów siatkarzy i piłkarzy ręcznych oraz koszykarskiej Eurolidze.

Wśród koszykarzy potwierdzono kilka przypadków zarażenia – u koszykarzy włoskiego VL Pesaro Basket oraz hiszpańskiego Realu Madryt, ale nie ujawniono personaliów. We Włoszech przełożono prestiżowy wyścig Giro d'Italia, potwierdzono zakażenie m.in. u dwukrotnego mistrza świata w kolarstwie torowym, Fernando Gavirii.

Polska

Choć w liczbie potwierdzonych ofiar epidemii nie dorównujemy krajom z południa Starego Kontynentu, powszechna panika skłoniła do działań profilaktycznych zarówno rząd, jak i krajowe federacje sportowe. PZPN najpierw nakazał rozgrywanie spotkań bez udziału publiczności, jednak pod wpływem rosnącej presji ze strony klubów Ekstraklasy, przełożył rozgrywki (szczegóły dokończenia sezonu na „teraz" nie są jeszcze znane). W niższych ligach, włączając małopolskie, wstrzymano wznowienie rozgrywek do końca marca, wraz z wszystkimi aktywnościami związanymi ze skupianiem większej liczby osób w jednym miejscu, np. egzaminów sędziowskich. W siatkówce odwołano finałową fazę Pucharu Polski oraz wstrzymano rozgrywki Plusligi, mimo że rywalizacja pomiędzy Vervą Warszawa a ZAKSĄ Kędzierzyn-Koźle wkraczała w decydującą fazę. Podobny los spotkał koszykarską Tauron Basket Ligę. Zakończono sezon Polskiej Hokej Ligi – zwycięzcą został GKS Tychy, zwycięzca sezonu zasadniczego. 2. miejsce zajęła Unia Oświęcim, dzięki czemu odniosła największy sukces od 15 lat.

Niestety trudno wskazać dyscyplinę bądź rejon na świecie, którego nie dotknęłaby epidemia wirusa. Może powinniśmy jednak odbierać ten fakt pozytywnie? W świecie zdominowanym przez pieniądz i szybkie tempo życia nawet największe i uchodzące za najbardziej skorumpowane organizacje zdały sobie sprawę z powagi sytuacji, albo chociaż skopiowały właściwą dla wyjątkowego stanu rzeczy ostrożność. Dzięki zdecydowanym działaniom władz i nas samych, być może trzymając w ręku papierową wersję kwietniowego Ignisa będziemy już oddychać spokojniej i traktować ten tekst jako niemiłe wspomnienie… ■

Służba (nie)zdrowia

Wiktor Węglewicz

W niniejszym wydaniu *Ignisa* zamierzam poruszyć temat poważny i znajdujący się obecnie w centrum zainteresowania mieszkańców największej demokracji świata, a mianowicie amerykańską służbę zdrowia. Zagadnienie to poznałem niestety dość dobrze, bowiem w czasie mojego pobytu złamałem rękę. W związku z tym na własnej skórze przekonałem się, jak w istocie funkcjonuje amerykański system opieki zdrowotnej.

Zacząć należy od rzeczy podstawowej – w USA nie ma publicznej służby zdrowia. Wszystko jest prywatne, i to jest źródłem wszystkich pozytywnych i negatywnych cech systemu. Dlaczego więc prywatne jest w tym przypadku gorsze niż państwowe? Wynika to z samego rozumienia pojęcia służby zdrowia przez przedsiębiorców amerykańskich. W USA jest ona pojmowana jako kolejny rodzaj biznesu, i z tej racji ma przynosić dochody. Tak jest – nie służy ona tylko leczeniu chorych, ale również zarabianiu pieniędzy. Stąd też każdy usługodawca stara się mieć dobry zysk na chorobie swojego klienta. W dodatku prywatne przychodnie istnieją w stanie szczątkowym – leczenie odbywa się w dużych szpitalach. Dlatego też wybór tańszej alternatywy jest w zasadzie zerowy.

Wszystko to powoduje wysoki koszt leczenia pacjenta: po pierwsze w związku z brakiem konkurencji państwowej, szpitale narzucają swoje ceny na choroby. Po drugie o tym, jaki będzie stan zdrowia klienta decyduje posiadany przez niego rodzaj ubezpieczenia. Absolutnie nie jest tak, że zakupione ubezpieczenie dotyczy wszystkich chorób – istnieją lepsze (czytaj: drogie) i gorsze (z reguły te tańsze). Po trzecie nawet jeśli ktoś trafi do szpitala na leczenie, to ubezpieczyciel nie pokrywa 100% kosztów – może to być 80%, 50% albo nawet 0% (!). Powszechną praktyką jest negocjacja z ubezpieczycielem odnośnie podziałów kosztów po otrzymaniu faktury. Po czwarte wreszcie – ceny leków są kilka razy wyższe, niż w Polsce lub nawet Europie Zachodniej (korporacje farmaceutyczne zarabiają na tym ogromne pieniądze). Dlatego dochodzi do takich absurdów, że bardziej opłacalne jest dla Amerykanów kupowanie antybiotyków na Bałkanach, w Gruzji czy też Turcji i przywożenie ich do kraju.

Dlatego wysokość opłaty ubezpieczeniowej jest różna, ale jeśli jest się osobą pracującą, to z reguły pracodawca pokrywa jej część. Z rozmów z Amerykanami skonstatowałem, iż przeciętnie płacą za to około 110$ miesięcznie. Co ważne, cena wzrasta wraz z wiekiem ubezpieczonego a za współubezpieczonego małżonka lub dzieci płaci się dodatkowo bardzo duże pieniądze.

Jaka jest wobec tego jakość usług medycznych? Muszę przyznać, iż jest ona bardzo wysoka. Przede wszystkim jest wielu pracowników administracyjnych, którzy wykonują „papierową robotę", w praktyce zastępując w tym lekarza, który może się skupić tylko na leczeniu pacjenta. Dalej – w szpitalu jest się prowadzonym przez pielęgniarki „po sznurku" przez wszystkie etapy kuracji, także pacjent nie musi robić absolutnie nic – personel sam zadba o wszystko, co należy zrobić w danym przypadku. Po trzecie kadra lekarska jest bardzo wysokiej klasy (jakość kształcenia lekarzy w USA jest niezwykle wysoka), a jak wiadomo – to kadry decydują…

Ile więc kosztuje pobyt w szpitalu? Faktycznych cen nikt nie zna, nawet lekarz opiekujący się pacjentem nie wie, ile bierze za wizytę (sic!). Dokładne wyliczenia znane są chyba tylko administracji szpitala w kontakcie z ubezpieczalnią. W każdym razie jest drogo: jedna szczepionka na grypę kosztuje w Cambridge 300$, z kolei kilkugodzinny pobyt w szpitalu na Florydzie zakończył się dla mojej znajomej rachunkiem na 15 000$ (sic!).

Nie jest więc dziwne, że zagadnienie ochrony zdrowia bardzo ekscytuje Amerykanów i jest głównym tematem obecnie trwającej kampanii prezydenckiej. Prezydent Trump zlikwidował bowiem powszechne ubezpieczenia medyczne, znane jako „Obamacare"; powrócono tym samym do starego systemu. Tę decyzję wykorzystują jego oponenci z grona Partii Demokratycznej, a w szczególności Bernie Sanders, do atakowania obecnego prezydenta (Sanders poprosił nawet Amerykanów o przesyłanie najbardziej absurdalnych faktur za usługi medyczne – jeden mężczyzna chory na raka przysłał rachunek na 1 250 000$, z czego ubezpieczalnia zgodziła się pokryć sumę jednie do wysokości miliona dolarów). Zwykli mieszkańcy tego kraju są coraz bardziej zdenerwowani na system tam istniejący, uważają bowiem wysokość opłat oraz ceny lekarstw za absurdalne (z drugiej jednak strony pragnęliby zachowania tak wysokiej jakości usług, jaka istnieje do tej pory). Z wielu rozmów, które przeprowadziłem z Amerykanami, nie znajdzie się nawet jedna osoba, pozytywnie oceniająca istniejący system.

Kwestia ochrony zdrowia jest moim zdaniem najsłabszym punktem życia w USA. Mogę jedynie smutno skonstatować, iż jest to kraj odpowiedni dla ludzi młodych i zdrowych. Pozostali są narażeni na duże problemy, które mogą doprowadzić do bankructwa i faktycznie zrujnować im życie. ■

Maria Joela Wilczek CSSF

Pokój i dobro! W latach 2012–2016 dane mi było służyć przy Kolegiacie św. Anny. To właśnie wtedy zaprzyjaźniłam się z DA i odkryłam jedną z najpiękniejszych perełek, jaką dobry Bóg obdarzył mnie w życiu. Wspólne wędrowanie z DA przez te cztery lata miało duży wpływ na sposób, w jaki przeżywam swoją zakonność. Głęboko w sercu noszę ukrytych wiele pięknych chwil, zwłaszcza momenty wspólnej modlitwy – to one szlifowały moją wrażliwość i uczyły budować relacje: proste i piękne zarazem. Myśląc o Duszpasterstwie św. Anny przy Kolegiacie, myślę o domu – miejscu ciepłym, zacisznym, napełnionym pokojem i zapachem Miłości. Myślę o ludziach uśmiechniętych o głębokim spojrzeniu, o filiżance kawy wypitej w Kanie, o prostych rozmowach o życiu i wspólnym poszukiwaniu odpowiedzi na trudne pytania. Myślę o pełnej gotowości do pomocy, której nieraz doświadczyłam, myślę o wspólnej wędrówce i poszukiwaniu tajemnicy szczęścia oraz sensu ludzkiego serca. Powracam nieraz do czwartkowych Eucharystii, do poniedziałkowych wieczorów spędzonych z Grupą Modlitewną, do wspólnych górskich wędrówek na Adapciaku, do zarumienionych twarzy i ogrzanych dłoni przy ognisku z ARCM, do zapatrzenia na Wschód i do zasłuchania w cichutki śpiew ptaków. Najpiękniejsze wspomnienie z czasów pracy w Kolegiacie to ludzie, których łączy nieziemska nić. To przyjaźnie budowane na kolanach, szlifowane podczas zasłuchania w szum wiatru w górach, pielęgnowane przy kubku gorącej herbaty. Wiele z tych relacji wciąż trwa, i przyznaję, że rozpiera mnie duma, gdy patrzę na to, w jaki sposób moi przyjaciele z DA żyją i budują cywilizację Miłości wokół siebie. Ksiądz Grzywocz napisał kiedyś, że człowiek jest tak zbudowany, iż sam sobie nie wystarczy: „Nasze oczy nie widzą swojej twarzy, potrzebujemy innego, żeby ją zobaczyć. Swoją doskonałość trzeba odkrywać we wspólnocie – z Bogiem i drugim człowiekiem". Taką drogą ku doskonałości będzie dla mnie zawsze czas spędzony przy DA. Po czterech latach, ubogacona, jak przystało na Homo Viator, zmieniłam posługę i miejsce pracy, ale piękno wspólnej wędrówki wszędzie ze sobą noszę. Dlaczego? Ponieważ są takie spotkania, które zostają na wieczność i, mimo przemijania, mają się nigdy nie skończyć… Takim spotkaniem stała się dla mnie przyjaźń z DA, oparta na Tym, Który Jest Samym SPOTKANIEM.

– siostra Joela – Felicjanka

Anna Kostrzewska

Przez okrągłe trzy lata (2016–2019) pełniłam posługę liderki Komórki św. Joanny Beretty-Molli, przedtem należałam do niej od ponad roku. Na myśl o Osobach, dzięki którym i dla których mogłam w tym czasie wzrastać w tym, co Boże, i tym, co ludzkie, przepełnia mnie ogromna wdzięczność; szczególnie Im dedykuję to wspomnienie. Największe komórkowe szaleństwo miało miejsce w maju 2018, kiedy to postanowiliśmy zorganizować przyjęcie dla kilku osób, których urodziny przypadały na ten czas. Byli to członkowie Komórki, jej absolwenci i jedna osoba z zaprzyjaźnionej od lat innej Komórki – razem kończyli 139 lat! Organizacja tego przyjęcia okazała się nie lada przedsięwzięciem, jako że włączyliśmy w nią wszystkie te osoby, pozorując, że to przyjęcie dla pozostałych majowych solenizantów: Ani powiedzieliśmy, że to przyjęcie dla Agi, Asi i Dawida, Adze, że dla Ani, Asi i Dawida, i tak dalej. (Oczywiście mogli się domyślać, ale nawet jeśli tak było, nikt nic nie mówił… A Dawid chyba w ogóle o niczym nie wiedział, bo studiował wtedy za granicą; podczas uroczystości nakręciliśmy dla niego film z życzeniami!). Kiedy dzień przyjęcia już się zbliżał, z pomocą Facebooka dokonaliśmy dramatycznego na tamtą chwilę odkrycia, że oprócz fantastycznej czwórki mamy w grupie jeszcze dwie osoby „z maja", których nie możemy przecież pominąć – trzeba było na szybko zorganizować prezenty, kartki, życzenia… Kto mnie bliżej poznał, ten wie, że w takich sytuacjach wszystko musi być dopięte na ostatni guzik, chyba aż za bardzo… A najlepiej wie ten, kto wtedy najbardziej dostał po kieszeni, kiedy nasze skromne środki już się wyczerpały. Zaaferowana odkryciem natychmiast napisałam wiadomość do któregoś z nie-jubilatów, ale – myśląc nieustannie o nowych osobach – wysłałam ją omyłkowo do jednej z nich… Tym sposobem Ola dostała ode mnie wiadomość o następującej treści: „Faktycznie, nie możemy pominąć Oli! Nie wiedziałam, że ma dzisiaj urodziny"… W odpowiedzi dostałam tylko: „Aniu, jesteś przekochana". Szczęśliwie Ola zachowała wszystko dla siebie. Okazało się, że przyjęcie – myślę, że udane – było niczym wisienka na torcie, bo już całość bardzo misternych, trwających około miesiąca przygotowań sprawiła nam wiele radości! Sam tort także udało się upiec wspólnie w kuchni na dole… ■

Przerwana spowiedź

Bartłomiej Mrówczyński

Niniejszy tekst należy potraktować równocześnie jako zaległy i aktualny, nawiązujący do sakramentów pokuty i namaszczenia. Proponuję także inną formę niż opowiadanie. Zobaczymy, czy się spodoba :)

Chciałbym się odnieść do osoby króla Stefana Batorego, moim zdaniem największego monarchy jakiego nasza Ojczyzna gościła na swym tronie. Przez całe życie darzyłem tego człowieka głębokim szacunkiem, jednak ostatnie miesiące mnie jeszcze mocniej w tym przekonaniu utwierdziły. Jestem po lekturze książki Hermana Zdzisława Scheuringa, doktora medycyny specjalizującego się w chorobach wewnętrznych. Związany z przedwojennym ruchem narodowym (afiliacja przy Stronnictwie Narodowym) był przymusowym emigrantem obawiającym się o życie w stalinowskiej Polsce, który pod koniec swojego barwnego życia zajął się pisaniem historycznych książek, których głównym motywem były zagadki lekarskiego fachu. Książka o której chciałbym wspomnieć nosi tytuł Czy królobójstwo? i chciałbym by jej treść, będąca zapisem procesu poszlakowego tezy, czy król Stefan nie został otruty, stanowiła tło dalszych rozważań.

Proponuję zacząć od sytuacji wewnętrznej naszej szesnastowiecznej Ojczyzny. Nasze wyobrażenie Rzeczpospolitej Obojga Narodów, czyli federacji Korony Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego, zazwyczaj dalece odbiega od prawdy. Mamy bowiem do czynienia z zupełną mozaiką kultur, religii i grup żyjących w drastycznie odmienny sposób. Polscy chłopi i mieszczanie zamieszkiwali zachodnią, dobrze zurbanizowaną i zagospodarowaną część państwa, zaś na południowym wschodzie dominowała ludność rusińska, a im dalej w tym kierunku, ku rubieżom Rzeczpospolitej, tym osiedla stałe znikały, a zastępowała je ludność kozacka i tatarska, wolni koczownicy, chętniej korzystający z namiotów niż chałup. Na północy mieszkała ludność pruska, zniemczona dokumentnie i prowadząca gospodarkę morską na rzecz liczącego prawie milion kilometrów kwadratowych państwa. Na wschodzie zaś, w nieprzebranych puszczach i bagnach Rusini mieszali się z Litwinami. I nie wolno zapomnieć także o diasporze żydowskiej, ormiańskiej, karaimskiej, łemkowskiej, a nawet węgierskiej czy greckiej. Dodatkowo ludność zjednoczonych monarchii jest posiekana różnicami stanowymi, co pogłębia brak zrozumienia. Kolejnym

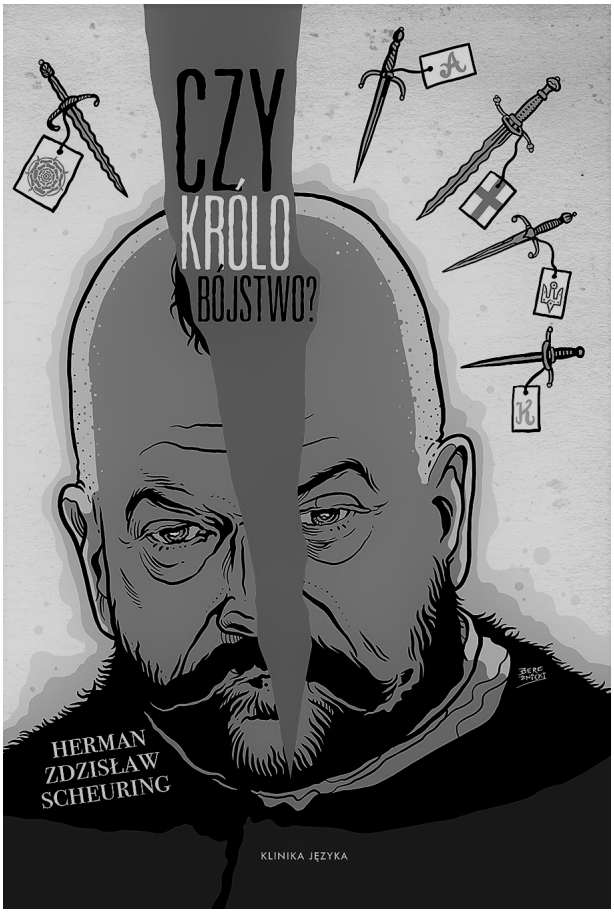

wyróżnikiem była religia. Rzymskokatolicka większość przechodziła w tym czasie, jak cały Kościół, przez kryzys , licząc na to, że zaangażowanie Zakonu Jezuitów oraz reforma soboru trydenckiego pozwoli odwrócić zabójczy trend. Dalej prawosławie, które po upadku Konstantynopola znalazło się bez orędownika i intelektualnego zaplecza, aby po stu latach od tego tragicznego wydarzenia okrutna Moskwa ogłosiła się obrończynią tej wiary. Następnie różne odłamy protestanckie od luteran, głównie osiadłych w miastach, po kalwinów czy arian znajdujących poparcie wśród szlachty. Inne wyznania jak różne odłamy judaizmu, chrześcijaństwa czy islamu uzupełniały

obraz zupełnej niejednolitości. A na koniec dochodzi jeszcze nasze bardzo nacjonalistyczne postrzeganie historii, które stosuje brzemienne w skutkach uproszczenia. Dla niektórych bowiem jest kompletną abstrakcją myśleć o Tadeuszu Kościuszce jako o mówiącym po polsku patriocie litewskim, który Polskę (w jego rozumieniu Królestwo Polskie) szanował o tyle, o ile można szanować państwo związane na śmierć i życie z własną Ojczyzną. Sam wychował się w otoczeniu prawosławnych chłopów, mieszczan niemiecko-polskiego pochodzenia, Żydów, chasydów oraz ortodoksów, zaś na dworach i salonach rozmawiał po francusku, łacinie i polsku ze swoimi prawosławnymi, protestanckimi i katolickimi krewnymi. Konstrukcyjna apokalipsa, można rzec, jednak to tylko świadczy o naszej ignorancji. Gdy zrozumiemy tę rzeczywistość możemy przystąpić do rozliczenia z przeszłością.

Jak zacząć pokutę? Od dokonania rachunku sumienia. A nasi przodkowie mieli grzechów naprawdę wiele. Ustrój Rzeczpospolitej był, eufemistycznie mówiąc, niestabilny. W wyniku tragicznych rządów Jagiellonów na polskim tronie majątek królewski został rozdany za bezcen w postaci prezentów bądź wypożyczony na złych warunkach szlachcie. Wojsko praktycznie nie istniało bo nie było pieniędzy w skarbcu na ich utrzymanie. Kościół rzymski, podupadły po kryzysie z XV wieku, a następnie dobity reformacją wymagał naprawy, zaś szlachta przynależąca do zreformowanych zborów, majątek Kościoła traktowała jako łup. Chłopstwo było traktowane źle, szczególnie w majątkach prywatnych, prawo było zupełnie nieuporządkowane i nierespektowane. Chaos dopełniła bezpotomna śmierć Zygmunta Augusta Jagiellończyka.

Dalej jest żal za grzechy. Równocześnie w Koronie, ale i na Litwie pojawiły się ruchy, zbiorowo nazywane egzekucyjnym, dążące do zmiany zastałego porządku i gotowe były ponieść brzemię uporządkowania sytuacji w kraju. Zygmunt August okazał się zbyt miękki i porzucił reformatorski obóz. Jego elekcyjny następca, Henryk Walezjusz, nie podjął żadnej decyzji o charakterze naprawczym, nawet więcej, państwo jeszcze bardziej popadło w miazmaty demokratyczne destabilizujące kraj. Szlachta czuła, że na przedłużającej się anarchii zdobędą jedynie mocarstwa obce, stracą zaś wszyscy mieszkańcy zjednoczonych monarchii.

Spowiedź jest czynnością jednocześnie krępującą oraz przynoszącą ulgę. Do takich należało panowanie Stefana Batorego. Wybór na tron Anny Jagiellonki i równocześnie jej męża nie był przejawem jedności poddanych zjednoczonych monarchii. Kościół Rzymski widział w Batorym jeśli nie wroga, to z pewnością osobę mu nieżyczliwą. Sam papież Grzegorz XIII do końca swych dni nie ufał temu monarsze i widział w nim kolejny krok w kierunku protestantyzacji Europy. Protestanci, ku swojemu zaskoczeniu, od początku spotykali się z despektami ze strony króla, którego sami obrali większością sejmową. Dodatkowo wzmogła się wojna z Rosją cara Iwana Groźnego, zbuntował się Gdańsk, a kozaczyzna ukraińska zaczęła walki z Tatarami na rubieżach Ukrainy. Król stanął przed nawałem zadań i przeciwności, jednak jego żelazna wola, wielki szacunek dla tradycji, religii rzymskiej, poszanowanie dla innych wiar sprawiało, że opór ustawał. Naród w końcu poczuł, że ma prawdziwego monarchę, a nie tyrana. Pierwszy i jedyny raz udało się trzykrotnie pod rząd uchwalić podatki na wojnę, podjęto się reformy skarbu i rozpisano nowe regulaminy dla armii oraz wprowadzono nowe taktyki z zastosowaniem dział jak również nowe formacje wojskowe, pieszych hajduków wchodzących w skład wojska kwarcianego i husarii, wzmocniono finansowo Zakon Jezuitów, który zaczął odwojowywać utracone dusze i zaczął przygotowywać się do misje na wschód, do Rosji. Odnowiono Uniwersytet w Krakowie i powołano do życia drugi w Wilnie. Ustanowiono Trybunały jako najwyższe sądy odwoławcze, dążąc do uporządkowania sądownictwa w Rzeczpospolitej. Szlachecka brać poczuła ulgę, choć z początku nikt się tego nie spodziewał. Nawet Ojciec Święty Pius V, następca Grzegorza, uznał Batorego za prawdziwego sojusznika w obronie Świętej Wiary. Aż 12 grudnia 1586 roku, po trwającej 6 dni chorobie, która mogła okazać się zwykłym aktem trucicielstwa jak zapewnia dr Scheuring, zasnął w Panu nasz ukochany monarcha.

Czy jednak nastąpiło mocne postanowienie poprawy? Myślę, że tak. Nasi przodkowie na długie lata nauczyli się trafnie podejmować polityczne, prawidłowo interpretując rzeczywistość, stanowczo stawiając dobro poddanych i Rzeczpospolitej na pierwszym miejscu. Wybierając na tron potomka Jagiellonów po kądzieli, Zygmunta III Wazę, królewicza szwedzkiego, obywatele zjednoczonych monarchii ukazali wolę utrzymania kursu polityki. Ten krok był jawnym poparciem dla kontynuacji dzieła Batorego, choć w nieco odświeżonej szacie. Jednakże kolejni monarchowie, może poza Władysławem IV Wazą, nie mieli aż takiej charyzmy i oddziaływania na społeczeństwo, co ich węgierski poprzednik. Kolejne lata zaś pokazały, że to mocne postanowienie naszych przodków o poprawie Rzeczpospolitej słabło i gasło.

Zadośćuczynienie Panu i bliźnim. I tu pojawia się pytanie o pokutę naszych przodków i nas samych, która w wymiarze politycznym oznacza dojrzałe rozumienie tej materii, umiejętność podejmowania decyzji, które będą skuteczne i zapewnią bezpieczeństwo majątku i życia wszystkich mieszkańców kraju. Niestety, aktualnie obowiązujący wykład historii i martyrologii naszego narodu jest tak źle skonstruowany, że mnie osobiście mdli. Dochodzimy bowiem w wykładzie narodowych dziejów do straszliwych wniosków, że nie stać nas na wielkość, a jedyne co możemy zaproponować ludzkości to dać się spektakularnie, na oczach całego świata zabić. Tymczasem Kościół Rzymski (a ten znam trochę) zawsze znał umiar, uczył się go przez wieki i w oparciu o świętą Tradycję stara się go przekazać nowym pokoleniom. Nasi przodkowie, jak wykazałem, dokonali skutecznego aktu pokuty. Jednakże gdy zgasła w nich ta nieustająca potrzeba stawania się lepszym, ta potrzeba regularnego dokonywania pokuty i pojednania, konfrontacji z błędami politycznymi, to ustrój Rzeczpospolitej zaczął się degenerować. To jest przestroga, czy umiemy z refleksją spojrzeć na otaczającą nas rzeczywistość, tak jak nasi przodkowie, którzy trafnie zinterpretowali plan króla Stefana na wzmocnienie zjednoczonych monarchii. Dziś my, potomkowie obdartych z majestatu i majątku szlachciców, wnukowie chłopów i robotników powołanych do poddaństwa Ojczyźnie, zostaliśmy powołani do kontynuowania dziedzictwa dawnych Sarmatów. Nadchodzi czas wymiany pokoleniowej i to my będziemy musieli stanąć na klęczniku historii i to od nas zależy czy Polska, tak bardzo różna od tej, która istniała 500 lat temu, ponownie popadnie w wielowiekowy niebyt, czy rozkwitnie nowym światłem. ■

5G, FTTH, Wi-Fi 6, NFC…

Jeśli tytuł cię nie przeraził to spokojnie najgorsze już za tobą. Świat elektroniki pełen jest skrótów, które dla przeciętnego kowalskiego brzmią enigmatycznie. Moja w tym rola, by wam wyjaśnić powyższe terminy.

Radek Jajko

Z roku na rok technika dynamicznie się rozwija. W dziedzinie obrazu możemy zaobserwować skok z rozdzielczości telewizorów SD na FullHD, a w ostatnim czasie w reklamach pełno jest o technologii 4K (UHD). Według mnie jest to dobre porównanie, ponieważ jesteśmy w stanie zobaczyć różnicę między poszczególnymi obrazami czy filmami w wyższej lub niższej rozdzielczości. Podobny rozwój technologii ma miejsce w świecie komunikacji, ale tutaj bez wkładu własnego możemy mieć poczucie, że nic się nie zmienia.

Piąta generacja 5G New Radio.

Większość z nas przywykła do korzystania z sieci LTE (czyli tak zwanej sieci czwartej generacji – 4G). Widząc w naszym telefonie ikonkę z jakiej sieci obecnie korzystamy, wiemy, że możemy natrafić na połączenia 3G (HSDPA itp.), które różnią się w szczególności szybkością otwierania stron internetowych. Przy 5G przeciętny użytkownik doświadczy szybszego ładowania się strony. Gdzie jest ten skok w generacji!? Nowe telefony mają zainstalowane między innymi więcej anten. Tak zwane MIMO (*Multiple Input – Multiple Output*) dzięki któremu mamy więcej niezależnych anten do pobierania danych. Na imprezach masowych nie będziemy tracić zasięgu, ponieważ nowa sieć będzie zakładać większe zagęszczenie stacji nadających sygnał w wyższym paśmie. Prawdopodobnie, będziemy też instalować takie domowe stacje w naszych mieszkaniach, które będą połączone ze światem poprzez…

Światłowód FTTH (*Fiber to the Home*)

Na jednym kablu jesteśmy w stanie przesłać do użytkownika 400Gb/s (giga bitów na sekundę – wielkość jednego dysku twardego przeciętnego laptopa w sekundę). W zastosowaniach korporacyjnych jest to przepływność rzędu 73,7 Tb/s (1Tb = 1000Gb). Wyobraźcie sobie, że pobieracie wszystkie sezony „Gry o Tron" w parę sekund. Paradoksalnie cena usługi światłowodowej jest niedużo droższa niż szybki Internet od operatora kablówki.

WiFi 6

Łączymy się z domowymi ruterami poprzez WiFi, ale z jakiego standardu korzystamy to już nie jesteśmy tego świadomi. Możemy się łączyć na 2.4GHz i na 5GHz (w naszej Kanie mamy Wi-Fi działające na obu tych pasmach), które mają swoje plusy i minusy. Połączenie na 5GHz jest szybsze, ale ma ograniczony zasięg, natomiast korzystając z 2.4 GHz możemy siedzieć sobie w Magii na kawie i nadal łączyć się z naszym kanowym Internetem. Wasze domowe rutery lepiej skonfigurować na używanie 5GHz, ponieważ sąsiedzi nie będą podkradać waszej sieci, a co więcej będziecie mieli mniej zakłóceń i szybsze połączenie. WiFi6 to właśnie usprawnienie komunikacji na połączeniach w tym wyższym paśmie.

NFC (*Near Field Communication*)

Jest to radiowy standard do przesyłania danych na odległość do 20cm o bardzo wolnej przepustowości. Korzystacie z tej technologii na legitymacjach, kartach płatniczych i w telefonach. Dzięki tej technologii możecie płacić telefonem za zakupy w kasie.

O każdej wymienionej technologii mógłbym napisać osobny artykuł, a i tak nie przekazałbym wszystkiego. Pytanie ile z tych rzeczy byłoby zrozumiałe i przydatne dla takiego zwykłego nietechnicznego studenta? ■

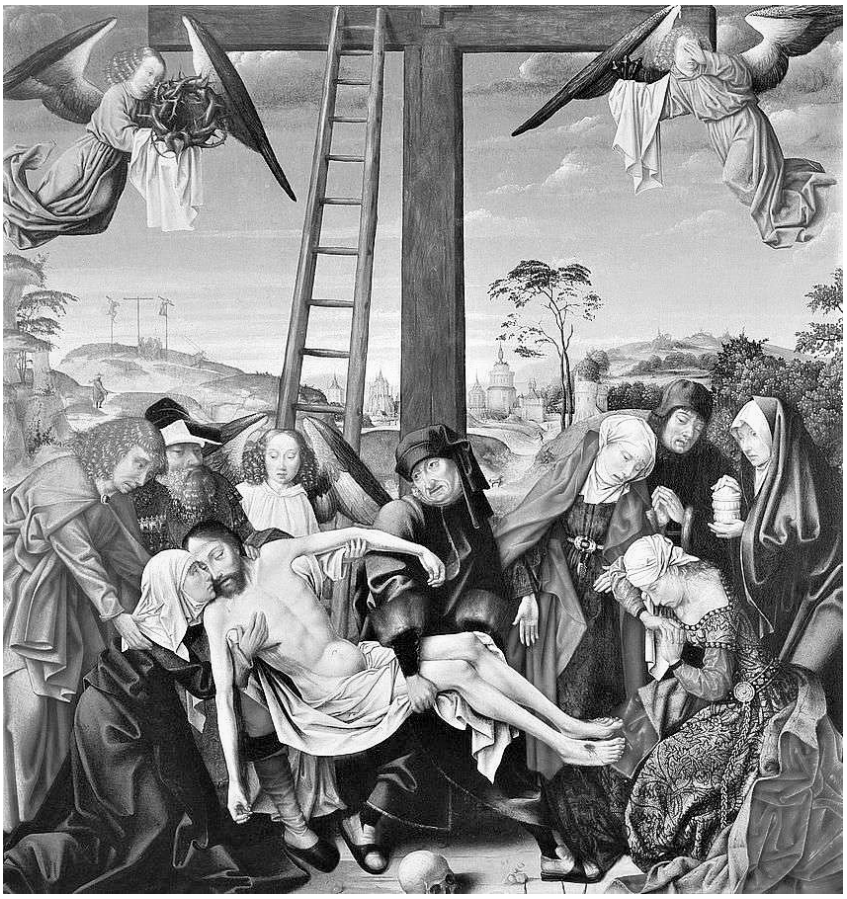

Pieta, Rogier van der Weyden

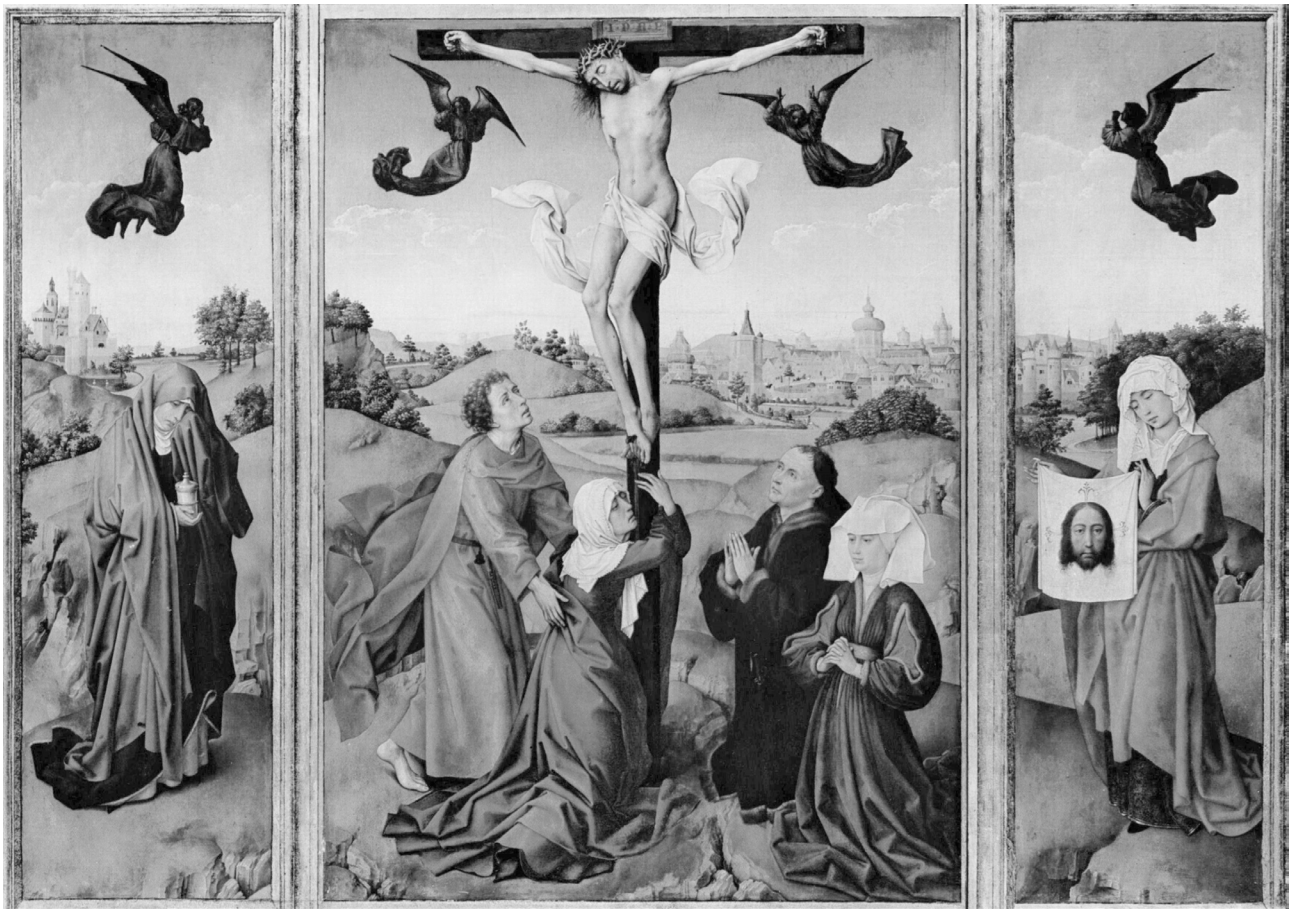

Tryptyk Ukrzyżowania, Rogier van der Weyden (ok. 1445)

KIEDY KTOŚ KICHNIE WIĘCEJ NIŻ RAZ
@hollywoodsquares
memy.pl
memy.pl

MEMYTUTAJ.PL
NAMASZCZENIA POTRZEBUJESZ
GDY UMRZEĆ PLANUJESZ

Weselcie się już zastępy Aniołów w niebie: weselcie się słudzy Boga. Niechaj zabrzmią dzwony głoszące zbawienie, gdy Król tak wielki odnosi zwycięstwo.

Raduj się, ziemio, opromieniona tak niezmiernym blaskiem, a oświecona jasnością Króla wieków, poczuj, że wolna jesteś od mroku, co świat okrywa!

Drodzy Czytelnicy,

Z okazji zbliżających się Świąt Zmartwychwstania Pańskiego przyjmijcie od nas najlepsze życzenia. Niech ten czas, który z pewnością będzie dla nas jeszcze bardziej wyjątkowy niż zwykle, przyniesie Wam wiele radości, nadziei i światła, rozpromieniając wszelkie ciemności, których teraz sporo w naszej codzienności.

Życzymy, aby zatrzymanie się nad tajemnicą zwycięstwa Chrystusa nad śmiercią i grzechem wypełniała Wasze serca pokojem. Niech nasz Pan, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych, umacnia Was Swoją miłością. „W miłości nie ma lęku, lecz doskonała miłość usuwa lęk." (1 J 4, 18)

Redakcja

Zachęcamy do śledzenia aktualności dotyczących wydarzeń i wyjazdów naszego duszpasterstwa:
na stronie internetowej **www.da-krakow.pl**
oraz na fanpage'u **www.facebook.com/swanna.kr**

Chcesz tworzyć „Ignisa" razem z nami? Skontaktuj się z Redakcją: **ignis.da@gmail.com**